

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.



**Moje felietony
tym są lepsze
od cudzych,
że krótsze.**



**Święto
morderców**

str. 13

**Porno
wyklęci**

str. 2

DZIENNIK COTY GODNIOWY



**Kancelarz Adolf Hitler
zamawia piwo w kantynie
Oddziału IPN w Bresław**



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE



TYDZIEŃ GŁOWY

▶ Prawdziwa rewolucja w wirusowym prêt-à-porter: zakrywające nos i usta kominy, chusty oraz szaliki są passé i démodé. À la mode są maski chirurgiczne, trójwarstwowe i FFP2 oraz FFP3. Tak orzekło ministerstwo mody, w Polsce zwane Ministerstwem Zdrowia.

▶ To samo ministerstwo zdecydowało o nowych i starych obostrzeniach i złuzowaniach. Zmieniają się one tak często jak przepisy podatkowe i tak jak one wyglądają na brane z dupy.

▶ Mimo covidowego zagrożenia (zachorował Dworczyk, szczepieniowy capo di tutti capi) odbyło się spotkanie na szczycie Zjednoczonej Prawicy. Kaczyński, Morawiecki, Gowin, Ziobro i Terlecki rozmawiali 4 godziny, z czego 3,5 godziny o tym, co ich dzieli, a kwadrans o tym, co ich łączy. Pozostały kwadrans poświęcono na przerwę na papierosa.

▶ Po trwającej tydzień awanturze do dymisji podał się Greniuch, heilujący narodowiec z neonazistowskimi sympatiami, awansowany na pełniącego obowiązki dyrektora wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej przez jego prezesa Szarka i odznaczony krzyżem zasługi przez prezydenta Dudę. Dymisję ogłosił Szarek na spotkaniu z dziennikarzami, na którym – jak pisowcy i biskupi katolicy – nie odpowiadał na pytania.

▶ Poruszony zawodowym dramatem Greniucha pisowski wicemarszałek Sejmu Terlecki powiedział, że do dymisji powinni się teraz podać ci funkcjonariusze publiczni, którzy kiedyś należeli do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przy okazji Terlecki był łaskaw zauważyć, że „system komunistyczny był z pewnością co najmniej tak zbrodniczy jak hitleryzm, a może nawet bardziej”. Terlecki jest z pewnością takim waleń jak Greniuch i Szarek, a może nawet bardziej.

▶ Tuż przed rozmową z psem z kulawą nogą sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Antony Blinken zadzwonił do Raua (to nazwisko człowieka, który w pisowskim rządzie piastuje funkcję ministra spraw zagranicznych), żeby mu powiedzieć kilka słów do słuchu o wolności mediów i przestrzeganiu prawa.

▶ Przy okazji afery ks. Dymera (kanalia pedofil, na szczęście już nie żyje) media zainteresowały się państwową komisją ds. pedofilii. Okazało się, że wybrani przez pisowską większość sejmową członkowie komisji zarabiają jak ministrowie, urzędują w luksusowych biurach, jeżdżą służbowymi furami, mieszkają w służbowych apartamentach i kosztują skarb państwa rocznie tyle, że czarni mogliby za tę kasę zaspokoić roszczenia wszystkich ofiar kościelnej pedofilii.

▶ Z kontrolą poselską do komisji ds. pedofilii wpadli posłowie Koalicji Obywatelskiej: Kamila Gasiuk-Pihowicz, Katarzyna Piekarska i Dariusz Joński. Przewodniczący komisji Kmiecik nie wpuścił ich, najpierw łącz, że komisja jest niezależna, a potem zasłaniając się epidemią. Takie zachowanie Kmiecika staje się jasne, jeśli weźmie się pod uwagę, że jest katolickim fundamentalistą – przez lata był współpracownikiem Ordo Iuris.

▶ Skoro mówimy o bizantyjskim prowadzeniu się władzy, to nie sposób nie wspomnieć o tym, że Służba Ochrony Państwa wybrała dostawców samochodów. 25 luksusowych fur ma kosztować prawie 4,5 mln zł. Jedną z nich – tą o najgrubszych szybach pancernych – będzie pewnie jeździł Morawiecki w towarzystwie ochroniarzy. A drugą Duda.

▶ Duda jeździł w minionym tygodniu – najpierw na nartach, a potem w kolumnie limuzyn na sygnale, korzystając z tzw. korytarza życia. Wydawało się, że trudna do wyobrażenia była arogancja Szydło, która na weekend w domu rodzinnym zapieprzała samochodami na bombach, ale Szydło przy Dudzie to wzór powściągliwości.

▶ Jeśli Duda jest szczytem beczelności władzy, to szczytem jej śmieszności jest pisowski poseł Suski, który właśnie został przewodniczącym Rady Programowej państwowego Polskiego Radia. Podobno drugie pytanie po nominacji, które zadał Suski (pierwsze dotyczyło tego, ile kasy będzie dostawał), brzmiało: Co to jest ten eter?

▶ Wyjebany z rządu poseł Solidarnej Polski o nazwisku Kowalski ma poglądy podobne do poglądów Szarka, Terleckiego czy Greniucha. Nic więc dziwnego, że ogłosił, iż partia Ziobry mogłaby pójść do wyborów razem z Konfederacją. Dziennikarze nie zapytali, czy Konfederacja chciałaby pójść do wyborów razem z takimi istotami jak Kowalski.

▶ Zauważyli Państwo, w jakim kraju przyszło nam żyć? Jeśli nie faszysta, to idiota, jeśli nie cynik, to cymbał, jeśli nie Duda, to koronawirus. Ale jeszcze nad naszym pueblem wzejdzie słońce, a gównu odpłynie razem z czarnymi chmurami...

Porno wykłęci

Nasza ludność od dzieciństwa do usranej śmierci najczęściej ogląda pornografię. Przy masturbacji obu płciom zastępuje ona wyobraźnię. Z tego powodu dorośli, którzy ją mają, np. malarze i reżyserzy, rzadziej niż dzieci korzystają z porno. Także twórcy filmów „dla dorosłych” nie mają wyobraźni.

Przeciętny scenariusz wygląda tak: Ona i on rozmawiają zapewne o seksie, ale nie wiadomo o czym, gdyż nikt dialogów nie słucha, dopóty twórcy nie zredukują ich do ech, ach, tak, tak, tak. Gdy dochodzi do pene-



Rys. WŁODEK KIERUS

tracji artystki w gębę, dupę lub pochwę, akcja staje się monotonna. Równie ciekawe byłoby gapienie się na tłoki pracujące w maszynowni okrętu. One także chodzą w górę i w dół – identycznie jak prącia. Przemysł okrętowy skopiował bowiem kopulację o miliony lat wcześniej niż od maszyn. Na koniec artyści nie ubierają się, jak to bywa w życiu. Wkładanie odzieży nikogo nie podnieca. Widzowie zaś mogliby zauważyć, że pornoartystki i ich samce poubierani stają się ładniejsi, mimo że ich kostiumami są łachy tanie, wymyślnie tandetne.

Gejowska penetracja międzypośladowa jest równie nudna, tyle że tłoki trzeba nawil-

żyć. W maszynach olejem, przy kopulacji wazeliną, spermą lub śliną. Uważam, że plucie na wargi sromowe uraga godności kobiet, szczególnie wzmożonej u Polek.

Zgroza ogarnia mnie na widok damskiej masturbacji. Artystki filmowe mają wydłużone pazury. Człowiek lęka się, że samica zaraz porozcina nimi wejście do pochwy i tryśnie krew. Pornosamice lubią też wkładać do seksu szpilki. Mogą więc zrobić nimi głębokie otwory w ciele jebaki; zagrażają zdrowiu lub życiu samca nie mniej niż kraksa, odpukać, samochodowa.

Z wszystkich tych powodów, drogie dzieci, jestem przeciw ruchomym obrazkom porno. Wyodrębnianie tego gatunku filmów wydaje mi się anachronizmem. Nie znaczy to bynajmniej, że jestem przeciwnikiem seksu ze wszystkimi szczegółami pokazywanego na ekranach. Wtopiony on jednak być powinien w normalną akcję kinową, w wartościową fabułę. Na przykład...

Trwa okupacja niemiecka. Żołnierz wykłety, oficer Narodowych Sił Zbrojnych, napotyka w lesie Żydówkę ukrywającą się w ziemiance. Kusi go, co naturalne, żeby ją zastrzelić lub wydać Niemcom. Powstrzymuje się jednak, czyli ratuje jej życie przed

samym sobą. Przewiduje bowiem, że po wojnie denuncjacja lub zabójstwo obciążałoby jego formację w oczach Amerykanów. Świta mu także, że po wojnie może powstać wpływowe państwo Izrael, zabijanie Żydów przez Polaków może więc tych pierwszych skłonić do emigracji na Bliski Wschód, co wzmocni parszywe ich państwo. Wszystko to wyraża wykłety w monologu z rozdartą sosną za plecami.

Polski bohater narodowy postanawia więc zerznąć Żydówkę i zachęcić do tego żołnierzy współwykłetych. Ją pozbawi więc tym balastu dziewictwa, a sam będzie miał przyjemność niewiele mniejszą od zabijania. Tłumaczy to wszystko w dialogu z dziewczyną, choć ta ogranicza swoje filmowe kwestie do typowego dla swojej rasy krzyku: aj, waj.

Oficer zdiera więc z suki ubranie, całuje ją w wargi ustne i sromowe, zaś jego oddział formuje kolejkę następnych uszczęśliwaczy samiczki obcoplemiennej.

Mamy więc całe porno, które lubimy, w kilku rozmaitych wydaniach i z wszelkimi szczegółami. Zarazem ciekawi nas jednak, jak się film skończy. Happy end następuje po latach w Izraelu. Narodowiec sadzi drzewko w Yad Vashem koło Jerozolimy jako sprawiedliwy wśród narodów świata. Przemawia premier Netanjahu, cytując żydowską sentencję: Kto ratuje jedno życie, zbawia całą ludzkość. Bohater zaś śpiewa, że jeszcze Polska nie zginęła, póki my, czyli nacjonałisci, żyjemy. Na koniec najazd kamery i zbliżenie na biało-czerwoną plakietkę w klapie marynarki wykłeciucha.

Oczywiście seks z detalami pasuje do każdego filmu i do wszystkich gatunków: kreskówki, romansu, kryminału, komedii, historycznego kostiumowca czy SF. Do science fiction najbardziej. □

URBAN

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRASA ŚNIADANIOWA

■ **Poczta Polska** wprowadziła znaczek upamiętniający objawienia siostry Faustyny. W urzędach pocztowych nie będzie końca żartom z lizania Faustynie.

■ **Abp Stanisław Gądecki** zaapelował do wiernych o modlitwę za apokatów. Kościół w Polsce jest jak dwuletnie dziecko, które nie rozumie podstawowych pojęć: zostaw, nie rusz, nie dotykaj.

■ **Andrzej Duda** powiedział, że harcerze są obecni zawsze, gdy potrzeba odwagi i determinacji. Z tej okazji prezydent z odwagą i determinacją rozpalil ognisko przed pałacem w centrum Warszawy.

■ **Andrzej Zybertowicz** stwierdził, że kobieta przestaje być wyłącznym dysponentem płodu, gdy w jej macicy znajduje się mieszanka genetyczna. Uprzywilejowane są ciężce ze związków kazirodczych.

■ **Janusz Korwin-Mikke** powiedział, że młode kobiety nie potrafią szyć, gotować i prasować. Wiadomo: Bóg, Honor, Ojczyzna, Pralka, Zmywarka...

■ W Małopolsce ma stanąć 2-metrowy **pomnik Jana Szyszk**. Odsłoni go córka leśniczego?

MARTA M.

51. TYDZIEŃ PANDEMII

Milionsześćsetosiemdziesiątyśięć Polak zakażony koronawirusem, pięćdziesiątyśięć zmarły na COVID-19, trzymilionowy zaszczepiony przeciwko niemu, trzecia fala zarazy, ale przynajmniej powodzi nie ma.

Duda zjeżdża z Giewontu na Marsie



WIATEK W OCZY

Rys. TOMASZ WIATEK

MATEUSZ CIEŚLAK

Gdyby PiS, jak to zamierzało uczynić, wprowadziło prawo zezwalające bezkarnie zabić każdego, kto wejdzie do naszego domu czy ogródka, pan Ryszard zapewne by z niego skorzystał. I strzelałby do przelatujących nad jego ziemią odrzutowców oraz śmigłowców wojskowych. Do pilotujących je ludzi pan Ryszard wręcz nie nienawidził. Publicznie pisze o pilotach wojskowych, że są to bandyci i chuligani.

Kilka miesięcy temu pan Ryszard wydał petycję „Obywatele w obronie konstytucji”. Pisał w niej: „My, obywatele Rzeczypospolitej Polskiej i Ziemi Witkowskiej, żądamy, by wojsko polskie i amerykańskie przestało łamać Konstytucję RP i zaprzestało nas atakować lotami samolotów i śmigłowców na wysokościach poniżej 150 m. Urządzanie sobie z naszych ziem poligonu wojskowego powoduje nieodwracalne zmiany w przyrodzie oraz naszym życiu codziennym. Nie zgadzamy się na obecność na okolicznych terenach wojsk, które za dnia i w nocy zakłócają spokój nasz, naszych dzieci oraz naszych rodzin. Ponadto nasze zwierzęta hodowlane również cierpią z powodu działań wojsk. Prowadzi to do strat w hodowlach oraz wzrostu agresji u zestresowanych zwierząt i związanego z tym spadku poziomu bezpieczeństwa”.

Podniebni bandyci

Zapowiedział następnie: „Postanowiłem, że od teraz będę dokumentował każdy niski przelot wojskowego helikoptera lub bombowców. Oto jeden z nich”. Nagranie lecącego bombowca zamieścił na Facebooku. Oświadczył: „Systematycznie te niskie loty – niedozwolone i bandyckie – są zgłaszane na policję – sprawcy zostaną ukarani!!!”. Film, na którym widać wojskowe helikoptery, opatrzył komentarzem: „Kolejna porcja nalożonych helikopterów bandytów”. I dalej: „Przypominam, że będę teraz raportował odpowiednim służbom każde naruszenie mojej przestrzeni powietrznej przez pilotów chuliganów. Ja nie pozwolę tym chuliganom pilotom, by latali nad moim gospodarstwem w strefie poniżej 150 m!!!!”.

Kilkunastu pilotom pan Ryszard wytoczył sprawy karne. Oskarżeni musieli się tłumaczyć. Pilotka śmigłowca transportowego, która tak się przestraszyła, że odeszła z armii i przestała latać, wnosząc o uniewinnienie, napisała, że wykonywała tylko rozkazy.

Śmigłowce włamywacze

W napaści na pilotów wojskowych pomogła panu Ryszardowi Żandarmeria Wojskowa. Ona to uzbroiła go w wiedzę, która z pewnością nie powinna być powszechnie dostępna. To pokazuje, jak marne jest dziś zabezpieczenie kontrwywiadowcze polskiej armii – żołnierzy i najważniejszych obiektów wojskowych. Takich jak lotnisko w Powidzu. To tam stacjonuje 33. Powidzka Baza Lotnictwa Transportowego im. płk. pil. Wiktora Pniewskiego. Znana również jako JW 3293. Wkrótce rozlokowana zostanie tam też brigada pancerna US Army, a wraz z nią pojawią się ogromne magazyny sprzętu i amunicji. Dlatego



Rys. TOMASZ WĄTER

Co lata panu Ryszardowi

Aby osiąść tajemnice polskiej armii, nie trzeba szpiegować ani się włamywać. Wystarczy poprosić o pomoc Żandarmerię Wojskową.

baza ta rozbudowywana jest w kierunku jeziora Niedziegieł.

Krucjata pana Ryszarda przeciwko wojskowemu z Powidza rozpoczęła się w 2018 r. Wtedy pojawił się na komisaracie w Witkowie i złożył zawiadomienie o przestępstwie, do którego dołączył dokumentację fotograficzną. Pod sygnaturą RSD-18/18 policja wszczęła postępowanie w sprawie przestępstw z artykułów 278 i 193 kodeksu karnego, dotyczących „wdzierania się na teren ogrodzonych działek poprzez lądowanie statków powietrznych w postaci śmigłowców stanowiących własność Wojska Polskiego na szkodę Ryszarda L.”.

Policja ustaliła, „iż czynu przestępczego dopuścić się mogli żołnierze Wojska Polskiego, pilotujący statki powietrzne w postaci śmigłowców będących własnością Wojska Polskiego”. Wobec tego, że rzekomi przestępcy byli żołnierzami, komisariat uznał się za jednostkę niewłaściwą do prowadzenia dochodzenia i zgromadzoną dokumentację przekazał Żandarmerii Wojskowej w Powidzu. Ta przesłuchała pana Ryszarda. Oświadczył, że nabył ziemię na czymś w rodzaju półwyspu jeziora Niedziegieł, który miejscowi nazywają Cyplem. Zznał: „Na niebie nad moimi działkami przelatują samoloty i helikoptery. Wydaje mi się, że piloci tych helikopterów, jak widzą, że jestem na działkach, specjalnie krążą nad nimi, obniżają loty i podejrzewam, że robione są zdjęcia. Te loty odbywają się tylko nad moimi działkami, nad działkami sąsiadów nie ma takich lotów. Zdarzało się, że helikoptery lądowały na moich działkach. Na dowód przekazuję zdjęcia. Lądowania te odbywają się codziennie, gdy tylko jest ładna pogoda. Dodam,

że miałem kiedyś konflikt z byłym wojskowym. I to zapewne jego sprawa, że samoloty te latają”.

Wiosło bojowe

Ponieważ pan Ryszard podał nazwisko byłego wojskowego, został on przesłuchany. Opowiedział, jak doszło do konfliktu między nim a Ryszardem L. Jechał na rowerze. Zajeżdżał na Cyfel. Wjechał na działkę pana Ryszarda, o czym nie wiedział, gdyż nie widział tam żadnego plotu czy tablicy. Nagle ktoś do niego podbiegł i uderzył go wiosłem. Ten z wiosłem to właśnie L.

Pytany o lądowanie na ziemi pana Ryszarda, były wojskowy odparł, że nic na ten temat nie wie. A był żołnierzem zawodowym przez 36 lat i służył właśnie w Powidzu.

Żandarmeria Wojskowa pytała go również o loty śmigłowców. Odrzekł, że są to wojskowe informacje poufne, nic więc na ten temat nie może powiedzieć. Doradził, aby żandarmi kontaktowali się z dowódcą JW 3293.

Mówiąc o informacjach poufnych, były wojskowy się mylił. Żandarmi nie ustalali w wysiłkach zmierzających do tego, by zgromadzić materiał dowodowy w sprawie przeciwko pilotom z bazy w Powidzu. Co prawda ustalono, że pan Ryszard mieszka kilkadziesiąt kilometrów od Cypla, a śmigłowce, które na Cyplu lądują, czynią to nie na ziemi pana Ryszarda, lecz na terenach należących do Nadleśnictwa Gniezno. Ćwiczą tam „lądowania w przygodnym terenie”, gdyż jest to miejsce odludne, bez dróg czy linii energetycznych. Nie zatrzymało to dalszego biegu sprawy, albowiem chodziło nie

tylko o lądowania. Mir domowy pana Ryszarda lotnicy zakłócili również przez to, że latali zbyt nisko.

Wojsko bez tajemnic

Prokuratura Rejonowa Poznań-Grunwald odmówiła wszczęcia dochodzenia. Wojskowy Sąd Garnizonowy w Poznaniu kazał się sprawie przyjrzeć ponownie. Ostatecznie do sądu trafił prywatny akt oskarżenia, w którym pan Ryszard wymienił z imienia i nazwiska siedemnastu chuliganów i bandytów pilotujących statki powietrzne WP. I choć sprawę umorzono, to zastanawia co innego.

Pan Ryszard uzyskał adresy prywatne i numery PESEL niektórych ze wskazanych przez niego siedemnastu pilotów. Żandarmeria Wojskowa wyposażała go w jeszcze cenniejszą wiedzę: na jego życzenie zgromadzono dokładne informacje o lotach śmigłowców. Przekazano mu numery boczne sfotografowanych przez niego maszyn i innych, które przelatowały nad jego ziemią. Dowiedział się m.in., kto siedział wewnątrz. Poznał nazwiska dowódców maszyn, instruktorów lotniczych, pilotów, techników pokładowych, strzelców pokładowych i nawigatorów. Ze szczegółowych zestawień pan Ryszard dowiedział się, na jakim sprzęcie kto lata.

Zdobył wiedzę o tym, ile lotów dziennie wykonują piloci bazy w Powidzu. Oznacza to, że dowiedział się, czy szkoleni są intensywnie, czy słabo. Poinformowany został również, jak często są to loty ćwiczebne, a jak często piloci wykonują inne zadania.

Przekazano mu wojskowe kryptonimy stref pilotażu ruchu lotniska woj-

skowego w Powidzu. Pan Ryszard wie (a z nim i my), że nazywają się one: Kilo, Bravo, Whiskey oraz Mike.

Uzyskał dokładną mapę, na której zostały zaznaczone, a wraz z nimi dokładne współrzędne punktów granicznych stref.

Następnie pan Ryszard uzyskał dokument zatwierdzony przez dowódcę JW 3293 o nazwie „Zbiór miejsc przeznaczonych do lądowania w czasie realizacji procesu szkolenia lotniczego z wykorzystaniem innych miejsc startów i lądowań”. W ten sposób dowiedział się, czy żołnierze JW 3293 szkoleni są do działań w górach, czy dolinach. Czy wybierają się na jakąś pustynną misję, czy może będą latać nisko nad miastami wroga. Wśród miejsc startów i lądowań wymieniony był Cyfel.

Rozkaz kserować

Otrzymał wreszcie „Rozkaz nr 106/Szkol/P7 w sprawie wprowadzenia do użytku w lotnictwie Sił Zbrojnych RP »Programu szkolenia lotniczego na śmigłowcach«”.

Pewnie dla obcego wywiadu rozkaz ten ma jakąś wartość. Jest to dokument liczący kilkaset stron. To encyklopedia wiedzy o tym, co potrafią piloci wojskowych śmigłowców polskiej armii. Zawiera on np. szczegóły „szkolenia w lotach na pokonywanie przeciwdziałania obrony przeciwlotniczej”. Czy szkoleń „na zwalczanie celów” naziemnych, nawodnych, powietrznych, zarówno w dzień, jak i w nocy. Z rozkazu pan Ryszard dowiedział się, jak polskie siły powietrzne przygotowane są do desantów, do kierowania ogniem własnej artylerii, do minowania narzutowego, do rozpoznania elektronicznego czy rozpoznania skażeń chemicznych oraz promieniotwórczych.

Przekazano mu pełną listę stref zakazanych dla lotów. Oczywiście z ich współrzędnymi. Od Tatr aż po Bałtyk. Lista ta chroni obiekty o znaczeniu strategicznym: fabryki broni czy amunicji, jednostki wojskowe, fabryki, rafinerie czy zakłady chemiczne.

Dowódca bazy lotniczej musiał się tłumaczyć: „Wykonywanie lądowania w terenie doraźnie wybranym z powietrza jest jednym z podstawowych i najważniejszych elementów szkolenia lotniczego pilota śmigłowcowego. Stanowi podstawę w szkoleniu podczas wykonywania lądowania awaryjnego, w przypadku wystąpienia sytuacji szczególnej na pokładzie, wymuszającej szybkie i bezpieczne wykonanie manewru lądowania w celu ratowania życia i zdrowia załogi, pasażerów oraz sprzętu wojskowego”.

Niektórzy piloci czuli się tak zazdrci, że odeszli z armii. Inni obawiają się, że zamiast fotografować pan Ryszard może zacząć oślepić ich laserem.

Kiedyś nad bezpieczeństwem armii czuwały Wojskowe Służby Informacyjne. Zlikwidował je pierwszy rząd PiS (2007–2009), a likwidatorem był Antoni Macierewicz. Na miejsce WSI powołano Służbę Kontrwywiadu Wojskowego. To ona dziś odpowiada za to, aby informacje ważne dla bezpieczeństwa armii i jej żołnierzy nie trafiały w niepowołane ręce.

Odpowiada, jak potrafi, a to, jak potrafi, obrazują przygody pana Ryszarda. □

mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Mózdzek Tygodnia

Niedzielnny poranek. Zybortowicza, przez przyjaciół nazywanego Andrzejem, a przez wrogów przezywanego profesorem, budzi rzeczownik „macica”. Zybortowicz jest właścicielem swojej czaszki, w której znajduje się mieszanka genetyczna, czyli substancja szara. Na myśl o słowie „macica” zmniejsza się wydzielanie noradrenaliny, co zwiększa ciśnienie tętnicze. Ciała jamiste już wcześniej wypełniają się krwią i płynem rdzeniowym. Podwyższone ciśnienie powoduje wzróż intelektualny, co umożliwia pierdolenie oralne, czyli mówienie bzdur.

Żeby nastąpiła ejakulacja, na wędzidełko umysłowe Zybortowicza muszą zacząć oddzia-

ływać inne bodźce niż jedna „macica”. Dzieje się tak po zamknięciu i ponownym otwarciu oczu. Myśli Zybortowicza zakłócają kolejne rzeczowniki: „kobieta”, „gwałt” i „płód”. Noradrenalina nie ma już prawie w ogóle. Wzróż intelektualny powoduje, że ejakulacji nie sposób powstrzymać.

Wybuchają umowne petardy, sztuczne ognie, granaty, szrapnele, bomby atomowe. Z otworu gębowego, którego Zybortowicz jest wyłącznym dysponentem, wypływają niepojętym strumieniem zgłoski ułożone dzięki substancji szarej. „Wprawdzie kobieta jest właścicielką swojej macicy, ale w momencie, kiedy w jej



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

macicy znajduje się mieszanka genetyczna nie w wyniku gwałtu, kobieta przestaje być wyłącznym dysponentem płodu” – brzmi łańcuch zgłoskowy.

Zybortowiczowi robi się ciemno przed oczami. Jeszcze kropla i w wyniku postępującego dziaderstwa straci przytomność... Lecz nie. Ciśnienie spada, oddech się uspokaja, wraca normalne tętno.

„Ten płód zawiera materiał genetyczny innego człowieka. I formuła »jestem właścicielką swojej macicy« nie dotyczy sytuacji, w której kobieta najpierw zgodziła się na to, żeby nastąpiło poczęcie albo możliwość poczęcia” – gładko spływają zgłoski.

...

Poniedziałkowy poranek. Po niespokojnie przespanej nocy Zybortowicz budzi się na myśl o słowie „konstytucja”...

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ W tej chwili ludzie **obrażają księży**, dewastują kościoły. Trzeba z tym walczyć z całą stanowczością, ponieważ chrześcijaństwo jest najbardziej prześladowaną religią na świecie. Moim zdaniem katolicy są coraz bardziej **prześladowani w Polsce**, bo nie ma u nas czegoś takiego jak prześladowanie muzułmanów, żydów czy innych religii, ale w Polsce uderza się głównie w katolików i chrześcijan. To nasze świątynie są dewastowane, a obrazy niszczone. W czasie protestów feministek wchodziło na cmentarze i niszczone pomniki nienarodzonych dzieci. To jest skrajne **zbydlęcenie**, które pokazuje, że jeśli tych ludzi państwo nie będzie ścigać, to oni nie mają granic.

Dariusz Matecki, Telewizja Trwam, 17 lutego

■ Z jakim zdziwieniem spotkało się to, że młodzi mężczyźni bronili swoich kościołów. Nie jesteśmy bezrozumnym stadem, które nie potrafi wyprowadzić dwóch czy trzech **niezrównoważonych pań**, którym się coś wydaje i które będą pluć, obrażać najświętsze wartości czy **znieważać Najświętszy Sakrament**. (...) Jeśli będziemy milczeć i przyzwalać, to tego typu postępowania będą coraz częstsze.

ks. prof. Waldemar Cisło, Telewizja Trwam, 18 lutego

■ **Ataki** wymierzone w wiarę chrześcijańską, polską tradycję, kulturę, historię nie mogą zostać pozostawione bez **kary**. Sprawcy nie mogą czuć się bezkarni. Również osoby nawołujące do tego typu zachowań nie mogą czuć się bezkarnie.

mec. Marek Szewczak, Twitter, 16 lutego

■ Mamy przykładowo postać poseł Joanny Scheuring-Wielgus, która zakłócała mszę świętą. Minister Zbigniew Ziobro wystąpił o odebranie jej immunitetu. To są sprawy rozwojowe i mam nadzieję, że **prokuratura** będzie działać szybciej, a sądy będą obiektywnie **skazywać** za to, co ci ludzie robili.

dalej Matecki

■ Próbuąc zrozumieć genezę tego, co od jakiegoś czasu dokonuje się na ulicach naszych miast, coraz bardziej uświadamiamy sobie, że jesteśmy świadkami wielkiego **starcia** o charakterze **kulturowym i cywilizacyjnym** – i to w skali globalnej. W jego centrum znalazło się życie dziecka nienarodzonego.

abp Marek Jędraszewski, list pasterski, 21 lutego

■ Polska (jeszcze) katolicka do niedawna mogła cieszyć się powodzeniem w przekazywaniu wiary. Mieliśmy dużo ludzi w Kościele, czuwania nocne, grupy modlitewne, duszpasterstwa akademickie, spotkania w Lednicy, pielgrzymki – to wszystko drażniło, było solą w oku. Dziś już nie tyle mamy do czynienia z naturalnymi procesami wystygania wiary chrześcijańskiej, (...) co ze wzmocnieniem **pewnych sił finansowych, estetycznych, kulturowych, by zniszczyć chrześcijaństwo w Polsce**.

ks. prof. Robert Skrzypczak, Telewizja Trwam, 18 lutego

■ Żyjemy w tej części świata, w której cieszymy się jeszcze z tego, że tę wolność mamy, ale niestety, **chrystianofobia** dotarła już do Europy. Są kraje w Europie, tak jak Francja, gdzie z tą chrystianofobią trzeba już po prostu **walczyć**. Ale chrystianofobia i pewne jej objawy dochodzą również do Polski. Taka fobia w stosunku do ludzi wierzących, takie dyskryminowanie osób, które cytują postanowienia z katechizmu Kościoła katolickiego np. w ramach swojej wolności osobistej, już niekiedy zdarza się u nas.

Przemysław Czarnek, otwarcie Centrum Badań Wolności Religijnej, 18 lutego

■ W corocznym ogólnoeuropejskim raporcie OBWE raportowane są przestępstwa z nienawiści wobec różnych grup społecznych. Mamy tam tzw. islamofobię, homofobię, ale również mamy przestępstwa popełniane z nienawiści wobec chrześcijan. (...) Aktem **chrystianofobii** jest przestępstwo popełnione na szkodę chrześcijan z uwagi na szczególną motywację nienawiści. Mamy do czynienia z zakłócaniem praktyk religijnych, atakami fizycznymi na księży motywowanymi tym, że są kapłanami. To ataki na świątynie, kaplice, wierzni (...). To wszystko są rzeczy, z którymi mamy **w Polsce** coraz częściej do czynienia.

mec. Jerzy Kwaśniewski, Radio Maryja, 18 lutego

■ **Prześladowanie chrześcijan** w świecie postępuje na gruncie rozwoju fundamentalizmu islamskiego czy innych nurtów, a w perspektywie europejskiej prześladowanie ma o wiele bardziej subtelny charakter. Coraz bardziej przejawia się w postaci cenzury, czyli rzekomej walki z mową nienawiści, w postaci szykanowania tych, którzy stają w obronie życia. (...) Rzeczywiście ujawniły się też siły ideologiczne – antychrześcijańskie. Pamiętamy o wszystkich marszach, które nieraz miały wymiar ocierający się o **kwestie satanistyczne**.

prof. Mieczysław Ryba, Radio Maryja, 22 lutego

■ Zmobilizowane oddziały tzw. **Strajku Kobiet** pokazały siłę zła – profanowanie kościołów, przerywanie mszy św. To pokazało, o jaką w istocie walkę chodzi. To ma wymiar absolutnie duchowy. (...) Daleko posunięte irracjonalne przeciwstawianie praw kobiet i praw dzieci, jakby dziecko było wrogiem kobiety. (...) Świat Zachodu opowiada się po stronie **autodestrukcyjnej** w sensie kulturowym, moralnym i duchowym.

dalej Ryba

Wybrat **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Mam fanatyczną refleksję: warto było przeżyć okres pisowskiej smuty, żeby naprostować młodzież. Teraz będzie już tylko lepiej. Jeżeli czegoś nie spierdolimy. My, szeroko pojęta lewica.

Owocem tej smuty są bowiem fenomenalne wyniki niedawnego sondażu CBOS, który wykazał, że po raz pierwszy w historii III RP lewicowość jest najpopularniejszą postawą młodych Polaków: 30 procent obywateli RP w wieku 18–24 lata uważa się za lewicowców, 27 za prawicowców, a 22 procent deklaruje poglądy centrowe. Tylko – co równie ważne – 17 procent nie ma zdania w tej sprawie.

To tyle samo – napiszmy to wyraźnie – ile jeszcze w zeszłym roku mieliśmy młodych lewicowców: wspólnym wysiłkiem rządu i Kościoła liczba lewicowej młodzieży wzrosła prawie dwukrotnie.

Równie dobrą wiadomością jest to, że zjednoczona lewicowa formacja zdaje się – wreszcie! – robić użytek z dobrych wiadomości. Sobotnia konwencja Lewicy, która została w całości oddana młodym działaczom, radykalnym językiem mówiącym o tym, co jest dla nich ważne, była przejawem bezprecedensowej odwagi intelektualnej.

Gwoli ścisłości: nigdy nie byłam entuzjastką obsesyjnego „skupienia na młodych”, które pojawiało się w retoryce większości partii, a w SLD na pewno. Ale nigdy też nie było takiej sytuacji, w której młodzi stanowiąliby realną szansę na odrodzenie konającej formacji. Jeżeli prawie co trzeci Polak poniżej 25. roku życia jest dziś człowiekiem lewicy, to najwyższa pora zacząć z nimi rozmawiać.

I Lewica zaczyna.

Zastraszanie w banii. Prawdziwą gwiazdą dnia był Maciek Rauhut: 14-latek z Krapkowic, do którego domu wtargnęło dwóch policjantów – „na komputerze trwała akurat lekcja polskiego, »Pan Tadeusz« i te sprawy” – żeby go zawiadomić, że pójdzie na 4 lata do poprawczaka i kolejne 4 do pudła. „Grubo. Pytam się za co, bo skoro już mam iść siedzieć na 8 lat, to chciałbym chociaż wiedzieć za co, jak mnie będą koledzy z celi pytali” – opowiadał dzieciak z tym unikatowym skrzyżowaniem wkurwienia i ironii, które stało się znakiem firmowym jesiennych protestów. Okazało się – o czym zresztą już wtedy usłyszała cała Polska, co uczyniło Maćka swoistym aborcyjnym celebrytą – że policja uważa, że 8 lat za kratami należy mu się za udostępnienie na Facebooku informacji o demonstracji Strajku Kobiet w Krapkowicach. Policjanci udzielili mu także łaskawie dobrej rady: jeśli nie pójdzie na tę demonstrację, to może uda mu się uniknąć więzienia.

Po jednym względem policjanci mieli rację: zapewne sądzili, że podejmują działanie wychowawcze wobec młodzieży. I rzeczywiście – nie sposób nie zauważyć, że Maciek Rauhut został przez nich rzetelnie i dogłębnie wychowany na świadomego i zaangażowanego obywatela. Nawet jeśli przed ich wizytą miał sprawy publiczne mniej czy bardziej w dupie, to dziś polityka stała się jego hobby.

Żądanie na kolację i śniadanie. Znakomity był także Jakub Pietrzak, działacz gejojski i wiceszef Federacji Młodych Socjaldemokratów, który z marszu przypieprzył nie tylko „kościelnym hierarchom, którzy robią wszystko, żeby chronić swoich kolegów gwałcicieli i mają chelność nas nazywać zarazą”, ale także „politykom, dla których osoby LGBT to zabawna kolorowa maskotka, z którą dobrze zrobić sobie zdjęcie na Marszu Równości, ale tylko w dużym mieście, tylko przed wyborami, a potem można nas olać”. Z rozpędu przywalił też „dziennikarzom, którzy latami promowali w swoich programach skrajną fundamentalistyczną prawicę, żerując na taniej sensacji i naszej krzywdzie, a teraz są pierwsi, żeby nas pouczyć”, co wywołało zabawny odzew ze strony nożyc w osobie Tomasz Lisa. Lis – raduje się Pietrzak na swoim FB – „na Twitterze napisał, że moje słowa przypominają mu o PPR i PZPR”.

Oczywiście wiadomo, że w świecie red. Lisa takie porównanie to obelga ostateczna – z tym że wysoce nietrafiona. Pietrzak jest znacznie bardziej radykalny niż partia nieboszczka była za pamięci Lisa: „Mamy dosyć obłudy i tchórzostwa, mamy dosyć słuchania, że jesteśmy tematem zastępczym i przeszkodą do wygranej z PiS-em. Przeżyliśmy Białystok, przeżyliśmy Lublin, przestajemy prosić o nasze prawa. My żądamy naszych praw. Żądamy równości małżeńskiej, żądamy

Myśl młoda blaski promiennymi



równościowej edukacji, żądamy ochrony przed mową nienawiści. Kończy się czas potulnych gejojów. Nie obchodzą nas polityczne gierki i układy z biskupami, idziemy po to, co się nam należy. Albo będziecie mieć odwagę, żeby działać na rzecz naszej sprawy, albo tylko gadać i już zawsze będziecie tchórzami”. I na koniec – co zapewne szczególnie oburzyło red. Lisa i innych entuzjastów Platformy – Pietrzak zauważył prawdziwie: „Na szczęście lewica dawno już odrobiła tę lekcję”.

Słomka z żelaza. Ale oczywiście nie było tak – spieszę uprzedzić wątpliwości „lewicy konserwatywnej” – że jedynymi tematami konwencji były aborcja i geje.

Kryzys klimatyczny – mówiła o tym Małyda Szpila, działaczka młodzieżówki Razem z Krakowa, także prezentując unikatowo lewicową perspektywę, wkurwiającą dla ofiarne troszczących się o stan środowiska polityków na prawo od nas: „Miło jest myśleć, że samemu można zmienić świat; że używając metalowej słomki albo segregując śmieci, można ocalić planetę... Ale promowanie indywidualnych rozwiązań ma jedynie na celu odwrócenie uwagi od rzeczywistych winowajców. Nie jednostka wywołała katastrofę klimatyczną i nie jednostka ją zatrzyma. Musimy w końcu wyciągnąć konsekwencje wobec wielkich korporacji, którym zanieczyszczenie środowiska się po prostu opłaca”.

Życie śmieci. O rynku pracy mówił Henryk Wójtowicz, koordynator Młodych Razem z Łodzi, czyniąc trafną uwagę będącą odpowiedzią na przekaz obydwo prawic: „Powtarza się nam, że młodzi bardzo lubią umowę zlecenie, że to idealne warunki na zatrudnienie młodych osób... Nie wiem dla kogo, bo nie dla mnie i nie dla moich przyjaciół, którzy traciłymi pracę z godziny na godzinę”. Wójtowicz mówił o swoich doświadczeniach – w wieku 20 lat robił już w pięciu różnych robotach; w żadnej nie miał przyzwoitej umowy, najczęściej nie dostawał nawet stawki minimalnej, a gdy zaczęła się pandemia, wyleciał pierwszy, bo młodych pracowników po prostu najłatwiej zwolnić. Powiedział także



coś, co należałoby na każdym kroku przypominać politykom rządzącym polski rynek pracy: młodzi ludzie nie pracują dla zabawy czy kaprysu, tylko dlatego, że potrzebują pieniędzy.

Pięć kątów. O mieszkaniach mówił Bartosz Sieniawski z organizacji pod piękną nazwą Czerwona Młodzież PPS – i znów mówił rzeczy, których rozsądny prorynkowy polityk nie powie („Lokatorzy są przez właścicieli mieszkań często traktowani jako przykra konsekwencja comiesięcznego pobierania czynszów”), używając przy tym cudnego słowa „patodeweloperka”.

Głupi biskupi. Świeckie państwo – to kolejny postulat, który oczywiście powtarza się w tekstach antypisowskiej opozycji. Ale jakoś tak z poszanowaniem dla wielowiekowej tradycji i uczuć religijnych większości... Nie tutaj. Dorota Dominików, licealistka z Razem, zadawała pytania, których w Polsce dziś nikt nie zadaje mimo mody na antyklerykalizm:

Dlaczego publiczna szkoła włącza się w organizację konkursu plastycznego, w którym prace mają zachęcać do rodzenia dzieci?;

Czy zwyczajczyni takiego konkursu powinna być wyróżniona na apelu szkolnym?; Czy powinniśmy łączyć świecką edukację z kościelnym konkursem?; Dlaczego w podstawówce wszystkie dzieci biorą udział w klasowych zawodach na najpiękniejszą palmę wielkanocną? A także dlaczego w miejscach takich jak Luban dziewczyna z ambicjami traktowana jest jak żart, również przez nauczycieli, którzy zachęcają młodzież do uczestniczenia np. w meczach matematycznych, ale wadzi im, gdy startująca w takim meczu drużyna ma „kapitanę”?

Jednak w dyskusji o świeckim państwie najbardziej ujęła mnie Angelika Słowińska z młodzieżówki Razem: „Panowie biskupi, nie głosowałam na was, nie interesuje mnie wasze zdanie”. Amen.

Zachwyt dziaderki. Nie sposób przy tym nie zauważyć, że większość znakomitych młodych ludzi występujących na sobotniej konwencji pochodziła właśnie z Razem. Co tłumaczy zarówno nieprzystawanie tego środowiska do formacji zdominowanej przez SLD, jak i jego nieodczynność. Jestem absolutnie zachwycona faktem, że starzy towarzysze – z Czarzastym na czele – zgodzili się na to, żeby wyciągnąć lekcję z ulicy i z sondaży.

Sztandar trzymajcie wysoko, Towarzysze.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Jedyna unijna agencja, która ma siedzibę w Polsce. Ale już niedługo...

Frontex od dupy strony

Od kilku miesięcy na Fronteksie – Europejskiej Agencji Straży Granicznej i Przybrzeżnej, której zadaniem jest strzec zewnętrznych granic Unii – psy wieszają wszyscy. Od polityków unijnych, przez media i organizacje broniące praw człowieka, po rolowanych i mobbingowanych pracowników. Na agencję zagał parol unijny organ kontrolny OLAF, którego przedstawiciele upodobał sobie warszawską siedzibę agencji jako miejsce robienia kipszu w pokojach zajmowanych przez szefostwo Fronteksu. Zdaniem ludzi pracujących w Brukseli tropienie burdelu w agencji to dopiero przygrywka do wyprowadzenia Fronteksu z Warszawy. Głównie po to, żeby pokazać, że w kwestii narastającego w Polsce autorytaryzmu Unia coś jednak robi.

1.

Frontex powołano w 2004 r., żeby Polska – nowy członek UE – poczuła się dowartościowana jako siedziba jakiejś unijnej instytucji. Szefem został Fin, a większość pracowników stanowili Polacy. Przez kilka lat zatrudnienie w agencji wynosiło około 30 osób. Co robiono, poza pisanem sprawozdań, nie bardzo wiadomo. Dopiero bowiem od 2009 r. agencja od granic była w stanie wydać informację o tym, ile osób usiłowało nielegalnie wjechać na teren Wspólnoty Europejskiej. Dowodziło to tego, że instytucja

ma problem nawet z pozyskiwaniem tak podstawowych danych od straży granicznych poszczególnych krajów.

Brukseli to jednak nie przeszkadzało. Frontex coś tam robił, jego budżet był mały, a Polacy cieszyli się, że mają u siebie kawałek unijnej biurokracji. Mleko się rozlało w 2015 r. Na Europie ruszyły miliony ludzi z Afryki i Bliskiego Wschodu. Wraz z wybuchem kryzysu migracyjnego przypomniano sobie, że Frontex istnieje. Błyskawicznie podmieniono szefa agencji i podniesiono jej budżet do 500 mln euro rocznie. Nowy szef Francuz Fabrice Leggeri dostał zadanie stworzenia europejskiej czapy koordynującej działania straży granicznych w Unii.

Działania ruszyły z kopyta. W 2016 r. Frontex zatrudnił 320 osób. Po dwóch latach miał ponad 600 pracowników. Dziś jest ich około tysiąca. W roku 2027 Frontex planuje zatrudniać 10 tysięcy ludzi.

2.

Leżące z dala od Brukseli agencji nikt w zęby nie zaglądał. Leggeri czuł się jak udziałowy władca. Najlepiej pokazuje to kwoty płacone przez Frontex za coroczne majowe święta agencji. W 2015 r. impreza odbywała się w knajpie w warszawskich Łazienkach i kosztowała 427 tys. zł. Gdy w roku 2018 świętowano w Sopocie, rachunek wyniósł 2,64 mln zł. Po drodze były takie ośrodki jak w ten Ariamowie, na które zapraszano 1000 gości, fundując im wyzerkę, napitkę i noclegi.

W latach 2015–2019 r. Frontex wydał na swoje święto prawie 10 mln zł.

Szef Fronteksu zaprzyjaźnił się z politykami PiS-u. Dzięki temu w agencji mogli zacząć pracować za doskonałą kasę „wybitni fachowcy” z nadania polskiej władzy. Władza robiła Fronteksowi dobrze i w 2017 r. przekazała mu działkę w centrum Warszawy pod budowę nowej siedziby. Budynek miał mieć 70 tys. mkw i móc pomieścić ponad 2 tysiące pracowników.

Szastanie pieniędzmi Brukseli nie ruszało. Tym, co zaniepokoiło euro-parlamentarzystów i komisarzy europejskich, okazały się kadry Fronteksu.

W internecie pojawiły się filmy, na których było widać, jak na Morzu Egejskim rumuńska jednostka działająca w ramach programu Fronteksu odpycha łódkę z imigrantami, każąc im wracać, skąd przy płynęli. Gazety rozpiswały się o tym, że 30 października działająca w ramach misji Fronteksu szwedzka straż graniczna widziała, jak greckie jednostki zbliżają się do wypełnionych ludźmi pontonów i zmuszają uciekinierów do wycofania się z narażeniem życia. Szwedzi chcieli o tym zaalarmować centralę, ale wyższy rangą funkcjonariusz Fronteksu ich od tego skutecznie odwrócił. Doszło do tego, że przez Human Right Watch Frontex jest obarczany odpowiedzialnością za zatonięcie wielu łodzi z imigrantami.

3.

Potem media zaczęły prześcigać się w opisywaniu tego, jak agencja traktuje policjantów i strażników granicznych z krajów unijnych. Tym, którzy odpisali na anons o poszukiwaniu przez Frontex pracowników i dostali wiadomość, że są przyjęci, kazano się stawić w Warszawie. Funkcjonariusze porzucali robotę i jechali do Warszawy. Potem siedzieli tam długo i nieszczęśliwie, aby dostać polecenie powrotu do domu i czekania na odpowiedź na piśmie. Nie doczekali się. Ponieważ jednak nie byli to Ukraińcy, których każdy może wystawić do wiatru, do Brukseli trafiło mnóstwo skarg na bajzel panujący w warszawskiej centrali Fronteksu. Okazało się również, że niemal wszyscy rekruci agencji, szkolący się w ośrodkach na Bari i w Koszalinie, zachorowali na COVID-19. Gdy kilku wyższych urzędników Fronteksu zwolniło się z pracy i zaczęły napływać informacje o mobbingu, czara goryczy się przelała. W Warszawie pojawili się funkcjonariusze OLAF i przez 1,5 miesiąca przetrząsali biura Fronteksu.

4.

W polskich mediach wizyta organu kontrolnego Unii została sprzedana jako

sprawdzenie nieprawidłowości w polityce kadrowej, zarzutów o faworyzowanie pewnych narodowości i tego, dlaczego agencja nie zatrudniała wystarczającej liczby obserwatorów praw podstawowych, których zadaniem jest zapewnienie zgodności działań Fronteksu z prawem unijnym. Naprawdę jednak rewizorzy z OLAF będą robili to, co robią zawsze i wszędzie, czyli poszukają przevalów finansowych.

Od grudnia Leggeri niemal co tydzień jest wzywany do Brukseli i Strasburga, a czasem nawet na dywanik do Bundestagu. Przed żadnym z przesłuchujących go zespołów nie jest w stanie obronić się przed stawianymi agencji zarzutami. Dla ludzi w Brukseli faceta już nie ma.

Ale nie tylko jego. Brukselskie korytarze grzmiały od pogłosów, że wraz z nim z Polski zniknie cały Frontex. Dokona się to tak samo jak na Węgrzech. Kraj rządzący przez Orbána został bowiem z Fronteksu wywalony, a czterdziestu węgierskich pracowników agencji poszło na zieloną trawę. Pretekstem było niewykonanie polecenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej zakazującego Węgrom łamania unijnego prawa imigracyjnego.

Takie same zarzuty ma Polska za traktowanie uchodźców w Terespolu. Jest więc więcej niż pewne, że Polska z Fronteksu wyleci, a jego przedstawicielstwo opuści Warszawę.

Na otarcie łez i żeby Polska wyszła z tego z twarzą, Unia stworzy jakąś europejską agencję do współpracy z Marsem, a jej siedzibę umieści nad Wisłą.

TADEUSZ JASIŃSKI

ILUSTR. WŁODZIEK KIERUS



Zerznięty

Wszystko wskazuje na to, że z prestiżowego stołka spadnie dr Andrzej Konieczny, dyrektor generalny Lasów Państwowych.

Ten wiceminister w resorcie środowiska za rządów Jana Szyszki, specjalisty od kornika drukarza i rżnięcia Puszczy Białowieskiej, miękko wyładował na stanowisku szefa Generalnej Dyrekcji Lasów Państwowych i trwał na nim, choć w tym czasie zmieniło się dwóch ministrów środowiska. Po Szysce byli nimi Henryk Kowalczyk z PiS, a potem człowiek Ziobry Michał Woś. Teraz los Koniecznego, mimo posiadania legitymacji partyjnej Prawa i Sprawiedliwości, wydaje się przesądzony: przy Nowogrodzkiej pisowcy są wkurwieni liczbą afer i aferek w Lasach Państwowych.

Zaczął się od serii artykułów „Onetu” o sytuacji w Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie, z której lekką ręką miały płynąć pieniądze na inwestycje kościelne, i

o najbliższej rodzinie Beaty Szydło, która według dziennikarzy portalu miała wejść na korzystnych warunkach w posiadanie jednej z leśniczówek

podległych LP. Opisano również huczne imieniny samego Koniecznego w Beskidzie Niskim w szczycie epidemii, które według rozmówców „Onetu” nazwano dla zmyłki „naradą dyrektorów”.

Powszechny nepotyzm w Lasach Państwowych to drugi powód, dla którego dr Konieczny pożegna się ze stołkiem. To przecież nie przypadek, że jego brat pełni funkcję szefa nadleśnictwa Rajgród, a bratowa została niedawno zastępcą nadleśniczego w nadleśnictwie Gołdap. Takich rodzin jak Konieczni jest w LP pod korek i jeśli nawet ich członkowie nie mają prawa do zielonego munduru, to znajdują się dla nich łatwe i przyjemne etaty w pionach administracyjnych. Skala tych nadużyć w czasach PiS-u przerosła wałki kręcone w tej firmie w czasach SLD, Platformy czy PSL.

Krwi Kaczyńskiemu napsuła ostatnio Komisja Europejska. Chodzi o niewykonanie wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w sprawie ochrony Puszczy Białowieskiej. Z obrotu prawnego wciąż nie zniknął aneks dla nadleśnictwa Białowieża, który pozwala dalej rąbać puszcze na masową skalę. Dodatkowo najnowsze plany dla okotopuszczkańskich nadleśnictw przewidują wycinkę ponadstuletnich drzewostanów. Przy złym rozdaniu za niewykonanie takiego wyroku Polska może bulić codziennie nawet 100 tys. euro kary.

Kto za Koniecznego? Nasi informatorzy są podzieleni. Według jednego rozmówcy zastąpi go ktoś z Solidarnej Polski, ale z pisowską przeszłością. Według drugiego będzie to typowy pisowski aparatczyk.

WJK



Dialogi dam w drodze do kościoła

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA nerwowo nadrabia braki w lekturze.
GOŚKA DANISZEWSKA żadnych braków nie ma, czyta więc nienerwowo.

Wołk-Łaniewska: – Mamusia kazała mi przeczytać „Łuk Triumfalny”.

Daniszevska: – Dlaczego?

– Bo za dużo czytam literatury fachowej, a za mało pięknej, toteż nie dbam o rozwój duszy...

– Żeby była piękna?

– Tak.

– I jak ci idzie „Łuk Triumfalny”?

– Z przeszkodami. Najpierw kupiłam jakieś nowe szykowne wydanie, ale tłumaczenie okazało się tragiczne. Mamusia kazała mi więc znaleźć stare, a ono, taka jego mać, 80 zł na Allegro. Przesada. W końcu trafiłam na uroczego młodego człowieka, który sprzedaje książki po złotówce, żeby „dać im nowe życie” – tak napisał – umówiłam się z nim konspiracyjnie po zmierzchu u wrót parku Żeromskiego i już mam. Czytelnik, rok 1957. Potem się zresztą okazało, że całe zamieszanie było zbędne, bo Remarque to wydał po angielsku, nie po niemiecku, więc mogłam sobie ściągnąć na czytnik w oryginale. Ale skoro zdobyłam wersję zabytkową, to będę ją czytać.

– I co?

– Jeszcze nie wiem, przymierzam się. Ostatnio dla przyjemności czytywałam tylko o seryjnych mordercach, nie do końca więc wiem, jak się zabrać do romansu... A ty co ostatnio czytasz, zapytam, jak wypada w inteligentnej konwersacji?

– Odwal się. Odkryłam, że miałam koronawirusa.



– Masz przeciwić? Gratuluje!

– Coś ty, nie robiłam żadnych postępów. Doszłam do tego drogą umysłową.

– Wszyscy krzyczą na rząd, że robi za mało testów. A tu proszę: można wydedukować.

– Żebyś wiedziała. Jeżdżąc po kanałach, trafiłam na program o skutkach po koronawirusie. Pomijam uder i zawał, ale zanim wyłączyłam telewizor, usłyszałam, że moje otępienie i brak radości pasują. Nie oczekuj więc ode mnie zbyt wiele.

– Znaczący nic nie czytasz? Nie poprowadzimy inteligentnej konwersacji wedle życzenia mojej mamusi?

– Wspominałam, że mam otępienie? Nawet z trudem przeczytałam wywiad z Moniką Jaruzelską w jednym z tygodników. 3 razy podchodziłam. W końcu się udało. Na drugą nogę przeczytałam opowieść pana Cejrowskiego o wężu i odkurzaczu. Bardzo sprytna bajeczka.

– Cejrowskiego? To rzeczywiście musisz być otępiała...

– A gdy już coś pomyślę, to też do dupy. Obudziły mnie koty nad ranem i przyszła mi do głowy myśl: porządni ludzie idą pod lód, a szuje wdrapują się na czubek góry lodowej. Na szczęście idzie odwilż.

– Jak tam szczęście?! Wspominałam, że chcę na narty?

– Nie raz.

– A mówiłam, że chcę do Soczi?

– Jasne, jakże mogłoby być inaczej.

– Soczi to jest w ogóle moje ulubione miejsce na ziemi, przebiło nawet Druskienniki, jest takim hibernowanym w czasie cudem... Pamiętasz scenę z „Mistrza i Małgorzaty”, jak Stiopa Lichodiejew obudził się na molo? „– Błagam, niech mi pan powie, co to za miasto? – Gotów!”

– Ale to nie było w Soczi.

– Ale tak sobie wyobrażam Jaltę z Bułhakowa: kurort wczesnoradziecki spotyka styl mauretański. Wąskie, strome uliczki, promenada przy morzu z białymi drewnianymi przebiegami, muszla koncertowa z kolumnadą, palmy i cyprysy... Choć może „kolacja rybaka czarnomorskiego” to już taka bardziej nowa Rosja.

– A kolacja rybaka czarnomorskiego to co?

– Kilo czarnego kawioru i butelka szampana. 50 tysięcy rubli.

– To ile?

– 2,5 kafa. Nie za dużo, tylko kto da radę zjeść na raz kilo czarnego kawioru? I do tego popijając szampanem, a nie wódką? Wracając do nart: dopiero teraz zobaczyłam, jakie tam są stoki.

– Jakież?

– Cudne. Władimir Władimirowicz na nich jeździł z Łukaszenką. – I jak jeździł?

– Świetnie.

– Czyli?

– Tak jak ja. Nawet kije w tej samej głupiej pozycji trzyma, na pingwina. To się bierze stąd, że 40 lat temu uczyli jeździć nisko-wysoko-nisko i styl wymagał, żeby „zamarkować skręt kijem” w momencie wyjścia do góry, a teraz już się nie wychodzi i nie ma kiedy zamarkować, toteż jest całe pokolenie narciarzy, które nie wie, co zrobić z kijami.

– Fascynujące.

– Dla ciebie może nie, ale zapewniam cię, że są dziesiątki ludzi, którzy znają ten ból. A widziałaś, jaki piękny kombinezon miał pan prezydent Putin?

– Nie widziałam.

– Moja mamusia się z niego bardzo śmiała, że taki stary facet w takim kolorowym ubranku, a to był kombinezon w kolorach rosyjskiej flagi. Patriotyczny. Nawiasem mówiąc, w zeszłym roku pan prezydent Duda był kapitanem drużyny w charytatywnym slalomie na rzecz osób z niepełnosprawnościami. I wiesz, jak był ubrany?

– Jak?

– Tak samo jak Putin.

– Znaczący w polską flagę?

– W rosyjską. W białą-niebiesko-czerwoną.

– To może taka moda jest generalnie. Muszę Króliczycy zapytać. Ledwo przyjechała do Polski, już zapakowała brata i pojechali na jeden dzień na narty gdzieś u podnóża Gór Świętokrzyskich. Przyjechali po południu, jeździli do północy i następnego dnia wrócili.

– Jak było?

– Mówią, że cudownie.

– Ale Soczi to to nie jest.

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

WIEŚCIZ KRUCHTY

✚ Kierownik Biura Delegata Konferencji Episkopatu Polski ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży ks. dr Piotr Studnicki wypowiedział się w sprawie małoletnich wykorzystywanych seksualnie przez księży: „Bardzo w Kościele potrzebujemy modlitwy przebiegalnej i szczerej pokuty za grzech”. Nie wspominał o tym, że w Kościele najbardziej potrzebne jest zaniechanie tuszowania pedofilii przez biskupów.

✚ Szczecińska prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie śmierci ks. Adama Dymera, oskarżonego o seksualne wykorzystywanie chłopców. Szczecińscy biskupi mieli wiedzieć o tym procedurze od roku 1995, bo dowodów nie brakowało. Jednak nie zrobili nic. Nie zapadł także wyrok przed sądami świeckimi – przestępstwa się przedawniły, bo tak długo były ukrywane. Teraz, po śmierci Dymera, śledczy mają badać sprawę pod kątem nieumyślnego spowodowania jego śmierci. Ciało księdza zostało zabezpieczone. Rozwiązuje to – przynajmniej chwilowo – problem tego, czy ks. Dymera należy pochować jako księdza czy jako nieksiędza. Choć przecież nie ma to większego znaczenia dla nikogo.

✚ Ks. Rafał K. z parafii Świętych Polskich Braci Męczenników w Bydgoszczy przez 5 lat wykorzystywał seksualnie chłopców. Duchowny we wrześniu zeszłego roku został nagle odwołany z parafii, ale dopiero teraz okazało się dlaczego. Ksiądz prowadził „terapię” dla ministrantów. Duchowny mierzył im przyrodzenia i nakłaniał do masturbowania się w jego obecności.

✚ Minister od szkół niższych i wyższych Przemysław Czarnek zaprosił ekspertów, którzy mają przejrzeć treści podręczników szkolnych. Szef gabinetu politycznego Czarnek Radosław Brzózka zdradził kilka szczegółów. „Wiedza przekazywana uczniom ma być podawana nie w oderwaniu od tożsamości cywilizacyjnej Polaków, ale w kontekście kultury łacińskiej, bo w tej kulturze szczególnie pielęgnuje się wszelką naukę, poszukuje się mądrości” – rzekł. Tłumacząc: ma być więcej Kościoła katolickiego w szkole.

✚ Powstał „uniwersytet” online. Pełna nazwa brzmi: Powszechny Uniwersytet Nauk Chrześcijańsko-Społecznych im. Świętego Jana Pawła II i Sługi Bożego Roberta Schumana. W radzie programowej



m.in. Marlena Małąg, minister rodziny i polityki społecznej, Bartłomiej Obajtek, dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku, brat prezesa Orlenu, Dominik Bierecki, syn założyciela SKOK-ów Grzegorz Biereckiego. Patronuje im minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek. Absolwenci tego „uniwersytetu” po rocznym kursie internetowym będą zmieniać Polskę.

✚ Metropolita poznański abepe Stanisław Gądecki był łaskaw wspomnieć o osobach dokonujących

apostacji. Według niego apostaci skarżą się, że zostali ochrzczeni bez świadomości, jako dzieci, przed osiągnięciem dojrzałości. „Gdyby analogicznie stosować tę samą zasadę do szkolnictwa, wówczas naukę w szkole należałoby rozpoczynać dopiero w wieku osiemnastu lat”. Gądecki nie wie, że najczęściej chrzci się dzieci zaraz po urodzeniu, kiedy nawet nie są w stanie powiedzieć „gu gu”, a do szkoły posyła się dzieci nieco starsze?

✚ Portal Gazeta.pl ujawnił warunki umowy zawartej między zarządem Telewizji Polskiej S.A. oraz Sekretariatem Konferencji Episkopatu Polski. Jacek Kurski, bo to on podpisywał umowę za TVP, obiecał, że w programach telewizyjnych na wszystkich kanałach będzie uwzględniane stanowisko Kościoła katolickiego. W umowie nie ma za to ani słowa o tym, do czego zobowiązał się Kościół. Czyli do niczego.

✚ Ojciec Tadeusz Rydzek tradycyjnie jak co roku rozpoczął apele o przekazywanie 1 proc. podatku na rzecz Fundacji Nasza Przyszłość, której jest założycielem. O finansową biedę Radia Maryja i Telewizji Trwam Rydzek oskarżył pandemię.

✚ W parafii św. Józefa Oblubieńca w Kątach w województwie małopolskim na mszy zamiast – zgodnie z pandemicznymi obostrzeniami – 30 było 160 osób. Ktoś zawiadomił policję. Ksiądz dostał upomnienie. Tuż po wizycie policji na stronie parafii ksiądz zamieścił ogłoszenie: „Donosiciel, czyli kapuś, szpicel, to jak człowiek trędowaty, którego należy odizolować od ludzi zdrowych i prosić Jezusa o uzdrowienie”.

✚ Ordynariusz diecezji łowickiej bepe Andrzej Dziuba podjął decyzję o połączeniu małych parafii. Powód: spadkowa tendencja powołań kapłańskich. Bardzo się cieszymy i gratulujemy.

KLECHA

Więści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.



ŚWIAT ŁĄDUJE W PISDU

Prawie 100 mld zł do przewalenia! Władza będzie robić interes stulecia z najbardziej skorumpowaną na świecie elitą polityczno-biznesową.

Centralny Port Komunikacyjny (CPK), poroniony wytrysk kompleksów Kaczyńskiego i spółki, ma być jednym z większych lotnisk na świecie. Całość (wraz z inwestycjami towarzyszącymi – drogami, liniami kolejowymi) pochłonie 94 mld zł, z czego 13 mld wydane zostanie w pierwszym etapie – do roku 2023.

Doradcą strategicznym CPK jest główne międzynarodowe lotnisko w Korei Południowej Incheon International Airport. Teraz do inwestycji ma przystąpić rząd w Seulu. Według doniesień medialnych lada dzień zostanie zawarta umowa międzyrządowa „o wzajemnej współpracy”. Koreańczycy zainwestują i częściowo sfinansują budowę lotniska. W uroczystości podpisania umowy mają wziąć udział najwyższe władze państwowe, m.in. premier Korei Południowej Chung Sye-kyun, a także tamtejszy minister infrastruktury i transportu Byeon Chang-heum oraz prezes lotniska Incheon Kyung Wook Kim. Do Polski koreańscy dygnitarze nie przylecą, z powodu COVID-19 wszystko ma się odbyć zdalnie w sali notowań Giełdy Papierów Wartościowych.

Wybór takich partnerów może nieco dziwić. Incheon International Airport jest co prawda jednym z większych lotnisk przesiadkowych w Azji, ale Koreańczycy z Południa nie są światową potęgą gospodarczą, a tylko współpraca z takim państwem mogłaby przynieść długofalowe wymierne efekty. Współwykonawcami CPK mieli być Chińczycy, ale – jak stwierdził enigmatycznie wiceminister infrastruktury Marcin Horała – „różnice w filozofii zarządzania nowym lotniskiem są zbyt duże, by były do zaakceptowania przez stronę polską”.

Być może PiS i Koreańczyków połączyła chęć do wzbogacania się na boku. Następna taka okazja może się już nie nadarzyć. Zapomnijcie o głównianych szwindlach z respiratorami i масечкami. Nastal czas prawdziwych żniw. Mając prawie 100 mld zł do wydania, pisowcy będą mogli zrobić deal z zawodowcami.

Nikt nie ma tak lepkich rąk i smykałki do lewych interesów jak elity polityczno-biznesowe Korei Południowej.

Republika Korei miała (łącznie z obecnym) dwunastu prezydentów. Większość z nich była zamieszana w skandale korupcyjne. W 1995 r. aresztowano Chun Doo-hwana, który piastował stanowisko prezydenta w latach 1980–1988, oraz jego następcę – Roh Tae-woo. Wytoczono im proces o łapówkarstwo, korupcję i bunt przeciwko legalnej władzy. Chun został skazany na karę śmierci, Roh na 22,5 roku więzienia.

Zostali ulaskawieni przez kolejnego prezydenta – Kim Young-sa-ma – który także był zamieszany w aferę korupcyjną. Uniknął procesu, ale został zmuszony do odejścia ze stanowiska.

Kim Dae-jung (rządził w latach 1998–2003) co prawda nie został oskarżony o korupcję, ale jego dwóch synów skazano za łapówkarstwo. Jego następca Roh Moo-hyun popełnił samobójstwo, skacząc w przepaść. Z listu pożegnania wynikało, że przyczyną odebrania sobie życia była choroba, ale wielu komentatorów wiązało jego śmierć z zarzutami o korupcję wysuwanymi wobec niego i członków jego rodziny.

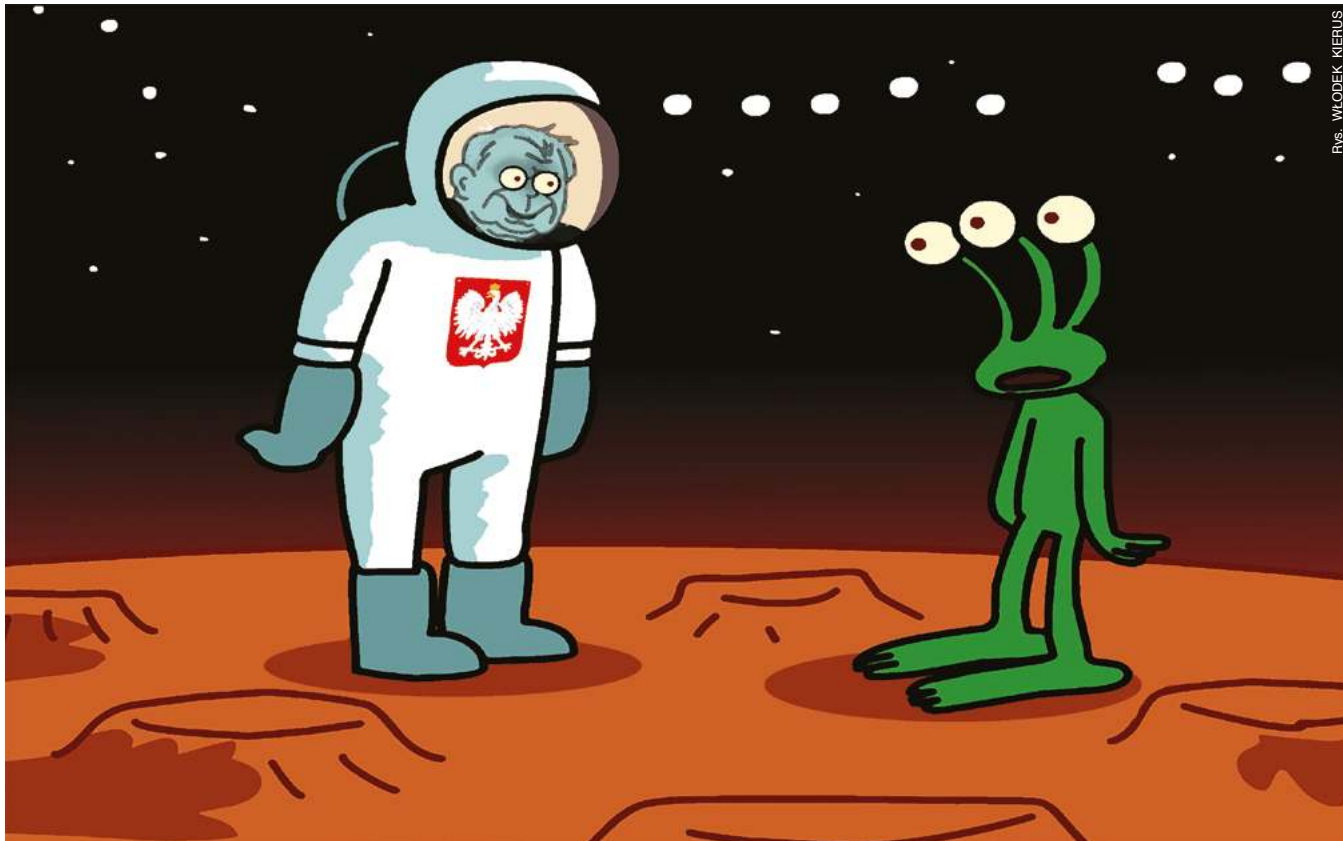
Park Geun-hye, pierwsza kobieta na stanowisku prezydenta (lata 2013–2017), też skończyła marnie. Została skazana na 22 lata więzienia m.in. za korupcję i płatną protekcję.

W afery korupcyjne zamieszani byli premierzy, ministrowie i ich doradcy, a także szefowie największych koncernów takich jak Samsung, LG czy Hyundai. Ci ostatni nie trafili jednak za kratki, korzystając z zawieszenia kary lub ulaskawienia przez prezydenta.

Według danych Ministerstwa Sprawiedliwości Republiki Korei ponad 4 tysiące urzędników państwowych było ściganych z powodu nadużycia władzy, przekupstwa, przywłaszczania lub sprzeniewierzenia oraz fałszowania oficjalnych dokumentów. Wśród nich znajduje się 250 byłych lub obecnych posłów do Zgromadzenia Narodowego.

Specjaliści wskazują, że głównymi przyczynami korupcji w Korei są zakorzeniony system światopoglądowy i nepotyzm. Konfucjanizm ceni wzajemność, ideę polegającą na tym, że trzeba odpłacać się innym za dobre traktowanie. Jest to dobra rzecz, ale niekoniecznie w polityce i biznesie. Może to prowadzić do tego, że urzędnik lub menedżer będzie oczekiwać czegoś w zamian za swoje przychylne decyzje. Również petenci lub kontrahenci biznesowi zaczną wręczać łapówki, wiedząc, że druga strona poczuje się zobowiązana do zwrotu przysługi. Powszechne jest, że stanowiska w rządzie, administracji państwowej i w koncernach obsadza się krewnymi lub przyjaciółmi. Menedżerowie, kierownicy i urzędnicy niższych szczebli zatrudniają przyjaciół, znajomych ze studiów czy ze szkoły. Ci zatrudniają swoich znajomych i w ten sposób tworzy się zwarta sieć lojalności. Przypomina to Polskę. Tyle że nad Wisłą trudniej o lojalność, bo skonfliktowane siły wry się, walcząc o wpływy.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl



Rys. WŁODEK KIERUS

Mars, Mars, Dąbrowski

Polska też kiedyś wyśle raketę na jakąś planetę. Zawiezie tam bylejąkość narodową.

Świat podniecił się lądowaniem amerykańskiego łazika na Marsie. A jak w podboju Wszechświata radzi sobie nasze potężne państwo? My mamy swoją agencję rządową i swoje narodowe ambicje. Wydajmy miliony na Polską Agencję Kosmiczną, której kluczowy dokument wskazuje na to, że sama nie wie, czym się zajmuje.

Poza naszą planetą, na której jest Polska oraz mniej ważne państwa, są też inne planety. Najbliższą Żoliborza jest Mars, który jest dla Ziemiaków jak Anglia dla Polaków – po zdevastowaniu własnego domu możemy próbować się tam przenieść i zacząć lepsze życie. Mars jest blisko i ma tak podobne warunki bytowe, że być może istniało tam kiedyś życie. Kluczowe są słowa „być może”.

Zanim się tam wybierzemy, warto wysłać coś, co dokładnie sprawdzi standard, w jaki być może przyjdzie się następnym pokoleniom przeprowadzić. Łazik eksploruje krater, który kiedyś prawdopodobnie był zbiornikiem wodnym, w poszukiwaniu nie tylko śladów wody, ale także śladów wszelkiego życia.

W międzynarodowym wyścigu kosmicznym biorą udział już nie tylko Amerykanie i Rosjanie. Ważnym graczem stają się Chiny, które jeszcze w tym roku planują misję mającą sprowadzić na Ziemię pozaziemskie złoza. Do boju ruszyli też Japończycy, Francuzi, Hindusi, a na orbitę są technicznie w stanie wylecieć Irańczycy czy Koreańczycy z Północy. Ba! Żydzi są już lepsi od Polaków i próbują latać w Kosmos, szukając tam interesów!

U nas najbliższ gwiazd był Kopernik, potem Hermaszewski, a potem długo, długo nikt. Podniecamy się, jeśli w jakiejś zagranicznej misji kosmicznej weźmie udział polska śrubka albo drut.

Patrzeć na górę wydaje się przyszczościowe, a światowe mocarstwa mają bardzo ambitne plany ekspansji. W stronę nieba patrzą zatem także Polacy. I co widzą?

Kosmos biało-czerwony

Końcówka rządów Donalda Tuska zawocowała przełomowym odkryciem, że nad Rzeczpospolitą Polską znajduje się niebo. Rychło powstała Polska Agencja Kosmiczna POLSA i tak się spodobała PiS-owi, że funkcjonuje do dziś. Obecny jej budżet zakłada wywalanie w Kosmos 80–100 mln zł rocznie. Na co?

„Polska Strategia Kosmiczna” na lata 2019–2021 to opasły dokument o charakterze tragiko(s)micznym. Proza polskiego zacofania i elementy fantastyki związane ze 120-stronicową próbą przekonania kogokolwiek, że Polska coś robi i coś znaczy w kosmicznym biznesie. Główny cel: skuteczne konkurowanie na rynku europejskim, przy czym skuteczne konkurowanie zdefiniowano na ledwie 3 proc. ogólnych obrotów rynku. Inny cel to próba pełnego wdrożenia

systemów satelitarnych, które potrafią robić zdjęcia wezbranej wodzie na rzece czy zakorkowanej autostradzie. Celem jest również nauczenie się do końca roku obsługiwanie systemów i technologii od dekad działających na całym świecie.

Przygotowany przez Polską Agencję Kosmiczną i przyjęty przez jej radę jako obowiązujący dokument wskazuje liczne wady i zagrożenia polskiego systemu kosmicznego – brak prywatnych doświadczonych przedsiębiorstw zajmujących się tym rynkiem, brak dostatecznego finansowania z budżetu państwa, braki kadrowe, brak kluczowych technologii, brak inwestorów, brak infrastruktury, co finalnie przekłada się na brak konkurencyjności. Więcej, wymieniono narastające zagrożenia, takie jak odpływ kadry za granicę i ekspansję zagranicznych przedsiębiorstw na polski rynek. To wszystko nie są moje wnioski, to wybrane punkty z raportu publicznej agencji, która co roku kosztuje nas kilkadziesiąt milionów złotych i *de facto* sama argumentuje, że nie ma po co istnieć.

Sztuka dla sztuki

Drugiej agencji NASA w Polsce nie będzie, bo ta pochłonęła tylko w zeszłym roku 21 mld dolarów. Mniej więcej tyle, na ile mamy zaplanowany deficyt budżetowy w tym roku. Nie polecimy sami na Marsa, nie mamy własnego wahadłowca, a z Helu nie będą startować promy, tak jak startują z przylądka Canaveral. Ale czy przynajmniej te dziesiątki milionów złotych rocznie wydajemy dobrze?

W „Krajowym Planie Kosmicznym” na lata 2019–2021 POLSA wymienia 5 dużych celów do osiągnięcia.

Pierwszym, najważniejszym, z ponad 30-milionowym budżetem, jest uformowanie misji naukowej, czytając: obsadzenie się na posadach i zagwarantowanie sobie pensji. W dokumencie zapisano to niemal wprost: Brak nowej misji naukowej spowoduje rozpad cennych zespołów naukowych oraz zanik *know-how* związanego z budowaniem systemów satelitarnych i ich obsługą. Projekt nawet nie zakładał, czym misja naukowa ma się zająć; brak choćby szczytkowych informacji o tym, czy ta grupa faktycznie powstała i czym się zajmuje.

Poza tym:

- program świadomości sytuacyjnej w przestrzeni kosmicznej, polegający na obserwacji satelitarnej – 12 mln zł z budżetu PAK;
- program wspierający sektor prywatny – 16 mln;
- modernizacja infrastruktury – 15 mln;
- oraz jedyny program powiązany bezpośrednio z eksploracją Kosmosu – testowanie rakiet wynoszących obiekty na wysokość 100 km nad Ziemię, wyceniony został na 6 mln zł.

W skali całego 3-letniego budżetu na łączną kwotę 248 mln zł wydatki na realne próby dostania się do gwiazd sta-

nowią więc zaledwie ułamek. Reszta pomniejszych, wymienianych w raporcie projektów i zadań to głównie zbieranie i wykorzystywanie danych satelitarnych. Czy ich obsługą powinna zajmować się oddzielna, pochłaniająca setki milionów jednostka?

Polska myśl kosmiczna

PAK ma wątpliwe podstawy logiczne do funkcjonowania, przynajmniej jako agencja zajmująca się Kosmosem, a nie zdjęciami stanu wody w rzekach. Może jednak wydawane przez nią pieniądze na innowacje technologiczne dają nadzieję na rozwój polskiego narodowego oręża kosmicznego? Może publiczne pieniądze idą na zaawansowane projekty polskich konstruktorów, dających nam nadzieję na to, że nawet jeśli sami nie będziemy latać w Kosmos, to nasze technologie będą kluczowe i istotne na światowym rynku? Też nie.

W programie PAK zapisane są dziesiątki milionów złotych na nieokreślone projekty i wsparcie innych podmiotów w podnoszeniu zaawansowania produktów. Jeszcze bardziej ogólnikowo opisane są „inkubatory biznesowe”, „pożyczki”, „program akceleracyjny” – wszystko z wielomilionowymi budżetami, wszystko opisane ogólnikami w dokumencie z 2018 r. i wszystko beztrudno zapomniane. Na stronach rządowych nie ma słowa o tym, czy te pieniądze w ogóle są wydawane, w jaki sposób i kto się załapał na wsparcie z budżetu.

Kosmiczne jaja

Patrząc na nieporadność, ogólniki i pozory funkcjonowania agencji, aż cisnęło się na usta zdanie, że musiał nią zarządzać ktoś, kto nie miał do tego kompetencji. Ależ tak! Kilka dni temu powołano nowego prezesa. Jak informuje „Gazeta Wyborcza”, Michała Szaniawskiego – człowieka Jądwi Emilewicz – usunięto ze stanowiska pod koniec zeszłego roku ze względu na rozszarady w rządzie i powrót Jarosława Gowina do gry, ale tak naprawdę ów Szaniawski nigdy tego stanowiska nie powinien był zajmować.

Aby go powołać, trzeba było zmienić ustawę o PAK, do tej pory agencją mógł kierować jedynie człowiek z dyplomem. Po obniżeniu kryteriów do magistra okazało się, że nawet to eliminuje z gry pana prezesa, który ma ledwie licencjat.

W tym miejscu historia PAK się dopełnia. Był to pisowski układ idealny – niekompetentny człowiek z politycznego nadania w agencji rządowej, która wydaje setki milionów złotych nie wiadomo na co, nie wiadomo komu i nie wiadomo po co.

ADAM LISZEWSKI
adam.liszewski@redakcja.nie.com.pl



Policja wytropiła grupę przestępczą o charakterze zbrojnym, na której czele stoi były baron Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Grupa przestępcza zagraża bezpieczeństwu państwa, dudom, kaczkom i ziobrom.

Grupa przestępcza o charakterze zbrojnym szczyci się tradycją. Działa w Beskidach, gdzie grasował sławny zbój Ondraszek. Współczesnym hersztem grupy jest Józef Błaszczuk, były komandos i były poseł, wieloletni szef Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych na Śląsku, a także członek zarządów: śląskiego wojewódzkiego Związku Spadochroniarzy Polskich oraz Stowarzyszenia Parlamentarzystów Polskich.

Gdy SLD stanowił potęgę polityczną, Błaszczuk był wiceszefem jego struktur na Śląsku. To ważne ze względu na miejsce działania grupy, którą teraz Błaszczuk dowodzi. Jej sztab się mieści w domku letniskowym dawnego czerwonego notabla. Domek stoi w Brennej. Jest to miejscowość o charakterze szczególnie ze względu na bezpieczeństwo Polski.

Po pierwsze, jeżdżą tam turyści, którzy chodzą po górach. Chodzenie po górach mężczy oraz pobudza trawienie. Dlatego w Brennej oraz okolicy działają liczne knajpy, które nawet w dobie pandemii serwują różne dania. Wśród dań królują przysmaki regionalne, w tym ziobro. Ziobro po beskidzku najczęściej podaje się z kapustą.

Po drugie, Brenna wraz z Wisłą, Szczyrkiem oraz kilkoma innymi miejscowościami co roku organizuje Tydzień Kultury Beskidzkiej. Jest to festiwal ziem górskich, inaugurowany przez hejnał grany na trombitach. Najczęstszym instrumentem, który można usłyszeć podczas tygodnia, są dudy. Na dudach grają dudziarze z Polski, Bułgarii, Macedonii i Szkocji. Już sam ten fakt sprawia, że wszystkie festiwalowe miejscowości muszą pozostawać pod obserwacją policyjnych służb specjalnych i niespecjalnych.

Po trzecie, z Brennej górami można przejść do Wisły. W Wiśle domek letniskowy mają państwo Dudowie – Agata i Andrzej. Rezydencja Prezydenta RP na Zadnim Stoku powstała w dwudziestolecie międzywojennym. Dziś jest ulubionym miejscem wypoczynku Prezydenta RP i Pierwszej Damy. Jak wiadomo, prezydent to zapalony narciarz, bywa więc tutaj często. Wówczas on i herszt grupy przestępczej o charakterze zbrojnym są prawie sąsiadami.

Po czwarte, Błaszczuk jest myśliwym. Ma 5 sztuk broni palnej. Wśród nich są również strzelby, z których strzela się do kaczek. Błaszczuk lubi robić z nich użytek. Kaczki też lubi – najchętniej pieczone z jabłkami.

Wszystko to każe przypuszczać, że sprawa ma kontekst polityczny. Kierowana przez polityka, komandosa i komucha zorganizowana grupa przestępcza o charakterze zbrojnym mogła sobie stawiać za cel siłowe obalenie władzy. Jej kryminalna działalność może być przykrywką lub sposobem pozyskiwania środków do sfinansowania akcji terrorystycznych.

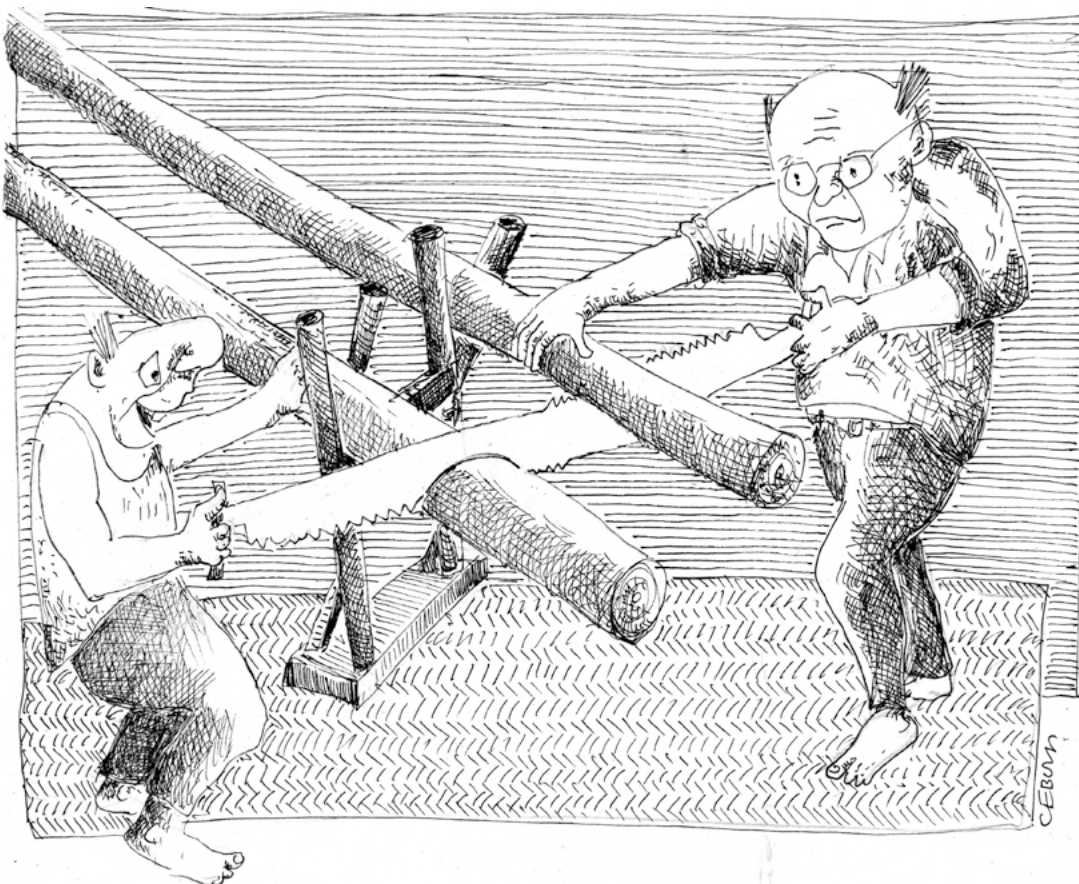
„Wniosek o jego uchylenie został skierowany do Parlamentu Europejskiego już w lipcu 2020 r. Minęło pół roku i nic” – pisze z nieukrywaniem żalem o immunitecie eurodeputowanego Włodzimierza Cimoszewicza białostocki „Kurier Poranny”. Tytuł publikacji z 1 lutego jest arbitralny, jak na przyszłe medium koncertu paliwowego Orlen przystało: „Włodzimierz Cimoszewicz nadal bez zarzutów za spowodowanie wypadku i ucieczkę. Parlament Europejski nie zgodził się na uchylenie immunitetu”.

Lecz wypadek drogowy z 4 maja 2019 r. i jego następstwa nie wyglądają tak sensacyjnie, jak by chciały pisowskie media *in spe*.

Potrącona przez wolno jadące auto Cimoszewicza w Hajnówce koło Białowieży emerytowana pielęgniarka Halina M. z lekko otartą ręką i twarzą poprosiła byłego premiera o podwózkę do domu, bo nie chciała robić sobie i jemu problemu, tym bardziej że oboje znali się wcześniej. Jego błąd polegał na tym, że nie poczekał na policję i pogotowie, tylko natychmiast spełnił życzenie kobiety. Już w domu poczuła się gorzej i zawieziona do miejscowego szpitala dowiedziała się, że ma złamane podudzie. Szpital poinformował lokalną policję. I się zaczęło.

Gdyby wypadek dotyczył osoby anonimowej, sprawą zajęłaby się Prokuratura Rejonowa w Hajnówce. Lecz nieszcześnie przytrafiło się ówczesnemu pewnemu kandydatowi Koalicji Europejskiej w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Do gry weszła więc Ziobrowa prokuratura szczebel wyższa – okręgowa. Nadzór nad sprawą przejął jej wiceszef w Białymstoku Andrzej Stelmazuk, poznany wcześniej w ca-

Banda czerwonego zbója



Kryminalny aspekt działalności następcy Ondraszka pozostaje w zainteresowaniu Komendy Powiatowej Policji w Cieszyń. Komenda wysłała do kryjówki gangu funkcjonariusza z Komisariatu Policji w Skoczowie. Policjant miał przykrywkę. Podawał się za poszukiwacza drzew. Zażądał od Błaszczuka ich pokazania.

Błaszczuk wyciągnął rękę. Zakreślił nią łuk, pokazując drzewa rosnące na jego ziemi. Policjant odrzekł, że chodzi o inne drzewa – szczególnie. Wśród nich orzechy włoskie.

Błaszczuk zaczął mataczyć. Stwierdził, że orzechów na jego ziemi nie było. Zapytał, czy może nie chodzi o orzechy, tylko o modrzewie. Bo modrzewie rzeczywiście zniknęły. Kilkanaście lat temu kazali je ścinać energetycy, gdyż zaczęły o linię wysokiego napięcia. Przez jakiś czas leżały pod kupą starych liści i Błaszczuk o nich zapomniał. Na dowód prawdziwości swoich słów herszt grupy przestępczej o charakterze zbrojnym pogrzebał nogą w ziemi i odsłonił zmurszały pień. Zapytał, czy odgrzebać inne. Policjant kiwnął, że nie.

Następnie udał się do sąsiada. Tam zebrał dowody przestępstw popełnionych przez zorganizowaną grupę przestępczą o charakterze zbrojnym, choć to ostatnie (zbrojny charakter) wyszło na jaw dopiero w toku śledztwa.

Sąsiad chętnie podjął współpracę z organami ścigania. Wcześniej bowiem przesunął kamienie graniczne, zmniejszając działkę Błaszczuka,

a powiększając swoją. Błaszczuk wezwał geodetę. Ten porównał położenie kamieni z tym, co było na mapach, i ze wskazaniami płynącymi z satelitów. Następnie kamienie wykopał i przeniósł tam, gdzie być powinny. W ten sposób policja zyskała oddanego i wiernego współpracownika, umiejętnie demaskującego działalność zorganizowanej grupy przestępczej o charakterze zbrojnym, dowodzonej przez byłego posła SLD.

Błaszczukowi zarzucono rabunek. Sąsiad zeznał bowiem, że zabrał mu 15 kubików drewna. Dowód nagrała kamera, którą sąsiad zainstalował tak, aby filmowała to, co działo się na działce Błaszczuka. Kamera sfilmowała dwóch mężczyzn pomagających Błaszczukowi w sprzątaniu działki. Mężczyźni zbierali gałęzie i liście oraz wyrwali chaszczce. Trzech ludzi to już grupa – w tym wypadku przestępcza.

Zebrane liście, chaszczce oraz gałęzie gang załadował na przyczepkę doczepioną do samochodu osobowego. Miała ona wymiary 1,5 × 1 m. Z aktu oskarżenia (oraz zgromadzonych dowodów) wynikało, że zmieściło się na niej 15 kubików (metrów sześciennych) drewna.

Grupa przestępcza ma w Brennej bazę. Herszt mieszka w Rudzie Śląskiej. Policjanci z sąsiadującego z Brenną Skoczowa jechali 70 km, aby wypytać sąsiadów Błaszczuka. Chcieli wiedzieć, czy pije, a jeśli pije, to co. Pytali, czy bije, a jeśli bije, to kogo. Czy może strzela z procy do dzieci bawią-

cych się na podwórku? Trafili. Sąsiedzi zdradzili, że Błaszczuk strzela z broni palnej.

Błaszczuk był posłem w latach 1997–2001. Cały blok, w którym mieszka, głosował wówczas na niego. Sąsiedzi zdradzili policjantom, że Błaszczuk jest myśliwym, a nawet przez pewien czas był wojewódzkim komendantem Państwowej Straży Łowieckiej. Jego obecna działalność przestępcza ma zatem charakter zbrojny.

Bogaci w tę wiedzę policjanci podziękowali sąsiadom i odwiedzili Błaszczuka. Zażądali okazania broni. Gdy powiedział, że od trzydziestu lat posiada ją legalnie, ponieważ ma na nią zezwolenie, Komenda Wojewódzka Policji w Katowicach zawiadomiła go o wszczęciu procedury odebrania mu tego zezwolenia. Broń musi oddać do policyjnego depozytu, dzięki czemu gang zostanie pozbawiony kłów i pazurów. Kaczki będą bezpieczne, podobnie jak para prezydencka. To ważne, gdyż stoki zostały otwarte i Andrzej Duda może częściej być w swojej wiślańskiej rezydencji.

Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Cieszyń. Rozpoczął się proces. Skrupulatnie obliczono wartość wirtualnego drewna, którego nikt nie widział, a które miał zrabować gang pod przywództwem byłego barona SLD. Drewno miało być warte 3171 zł. Oraz 84 grosze.

Kubik to metr sześcienny. A

metr sześcienny to klocek długi, szeroki i wysoki na metr. Brońnięć się w sądzie przed zarzutem wirtualnego rabunku, Błaszczuk chciał wiedzieć, jak można załadować na przyczepkę o szerokości metra 15 takich klocków.

Przyczepa byłaby zbyt krótka, by klocki pomieścić na długość, to należałoby je ustawić jeden na drugim – dociekał. Tylko czy dałoby się taką przyczepkę przyczepić do samochodu i nim jechać?

Sędziowie takie dociekania nie zainteresowały, gdyż były nieistotne dla sprawy. Sąd powołał biegłego na okoliczność ustalenia, czy 15 klocków ustawionych kolejno na sobie rzeczywiście mogło mieć wartość obliczoną z dokładnością do osiemdziesięciu czterech groszy. Biegły będzie więc musiał wykazać się zdolnościami paranoi, gdyż wirtualnego drewna nikt nigdy nie widział.

Głupie pytania nie pozostały bez reakcji. Błaszczuka wezwano do zrobienia badań stanu psychicznego. To zrozumiałe – przecież w pisowskiej Polsce decyzje policji i prokuratury kwestionować może tylko wariat.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Polowanie na Cimoszewicza

łym kraju z powodu umorzenia sprawy płażącej swastyki w wykonaniu nacjonalistów ze Stowarzyszenia Zadruga. Stelmazuk uznał swastykę za kruszwicką swargę, symbol czczony przez przodków wszystkich Słowian, czyli także dumnych Polaków.

Zarzutów Cimoszewiczowi nie dało się szybko postawić, bo świadkowie, mimo apelu prokuratury, unikali jak ognia prokuratora Stelmazuka, śledztwo ciągnęło się więc jak gluty z nosa i w międzyczasie kandydat na europosła został europosem z immunitetem. Prokuraturze pozostał wniosek o jego uchylenie i

potencjalne 3 lata pudła dla byłego premiera, Prokuratora Generalnego i ministra w jednym,

gdyby sąd okazał się łaskawy dla instytucjonalnego oskarżyciela.

Jeszcze raz zacytujmy „Kurier Poranny”: „Nadal nie otrzymaliśmy odpowiedzi (w sprawie wniosku o uchylenie immunitetu – dop. WJK) – mówi Łukasz Janyst, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Białymstoku. Na pytanie, czy analiza wniosku wyjątkowo się przedłuża, odpowiada: – Nie mamy doświadczenia. To pierwszy przypadek, kiedy nasza prokuratura wnioskuje o uchylenie immunitetu do

Parlamentu Europejskiego. Nie mamy instrumentów, żeby wyznaczać mu terminy na odpowiedź”.

Ta wypowiedź to dowód na zadziwiającą indolencję Ziobrowych śledczych, wystarczyłoby bowiem zasięgnąć języka u źródeł, zwracając się w tej sprawie bezpośrednio do instytucji europejskiej.

„Dlaczego Parlament Europejski nie odpowiedział prokuraturze i czy ten wniosek o uchylenie immunitetu jest jednak procedowany?” – zapytaliśmy uprzejmie Bartosza Ochapskiego, polskiego *attaché* prasowego Parlamentu Europejskiego. „Wniosek przedstawiony przez Prokuraturę Rzeczypospolitej Polskiej datowany na 23 lipca 2020 oraz wniosek Prokuratury Okręgowej w Białymstoku został ogłoszony na posiedzeniu plenarnym przez przewodniczącego Davida Sassoliego 14 września 2020 i tego samego dnia przekazany do procedowania w Komisji Prawnej” – poinformował nas Ochapski.

Po wyznaczeniu sprawozdawcy w sprawie Cimoszewicza, Francuza Gilles’a Lebretona, Komisja Prawna Europarlamentu debatowała nad wnioskiem polskiej prokuratury, aby następnie, całkiem niedawno, 4 lutego, już po „wezwanie do złożenia wyjaśnień”, wejść w etap „wysłuchania” osoby, której może być uchylony immunitet poselski. Kolejny etap to prezentacja sprawozdania dotyczącego przy-

padku Cimoszewicza oraz głosowanie nad tym sprawozdaniem w tej komisji parlamentarnej, a następnie – i tu Ziobro najprawdopodobniej będzie na gorącej linii z pisowskimi europosłami – głosowanie na posiedzeniu plenarnym Parlamentu Europejskiego za lub przeciw odebraniu immunitetu Cimoszewiczowi. „Jeśli chodzi o ramy czasowe, cała procedura trwa zazwyczaj kilka miesięcy” – studzi niecierpliwość białostockiej prokuratury *attaché* Ochapski. Ziobro musi jeszcze ociupinkę poczekać na medialną pożywkę.

WJK



Turek na podsłuchu

Jaki Nixon, taka Watergate.



Rys. PATRYK SROCIŃSKI

To dobrze znacie:
Na terenie kompleksu Watergate w Waszyngtonie w nocy 17 czerwca 1972 r. przyłapano na gorącym uczynku 5 osób usiłujących zainstalować podsłuch. Wpadli w biurach sztabu wyborczego Partii Demokratycznej. Okazało się, że jednym z nich był pracownik Komitetu Reelekcji Prezydenta Nixona – republikanina. Sprawa nie zdążyła nawet nabrać rozgłosu. Nixon wybory wygrał w cuglach. Potem afera Watergate wypłynęła. Komuś z FBI bardzo zależało na uwaleniu prezydenta. Informacje i kwity powędrowały do dziennikarzy Bernsteina i Woodwarda, którzy w „The Washington Post” zrobili zadymę na taką skalę, że każde amerykańskie dziecko wiedziało, iż Nixon stał za grupą łamiącą prawo. Rozpoczęto procedurę odwołania głowy Stanów Zjednoczonych. Nixon nie chciał się tłumaczyć i w sierpniu 1974 r. zrezygnował ze stanowiska.

...

A tego raczej nie znacie:
Karol Serafiński, radny miasta Turek, znał aferę Watergate na tyle, aby wiedzieć, że w polityce nie można ufać nikomu poza sobą.

7 maja 2019 r. Serafiński udał się do sklepu. Kupił tam taśmę klejącą, pożyczył nożyczki i poszedł do siedziby stowarzyszenia Ziemia Turkowska. Serafiński wszedł do pustych pomieszczeń stowarzyszenia jak do siebie, gdyż był członkiem Ziemi Turkowskiej, piastując z jej ramienia w radzie miejskiej funkcję przewodniczącego komisji porządku publicznego i ochrony środowiska.

Czas jakiś po Serafińskim do siedziby przyszedł 3 działaczki, w tym przewodnicząca Rady Miejskiej Turku Mariola Kadrzyńska-Siwek. Panie umówiły się wcześniej na ważkie polityczne rozmowy. Rozmowami tymi był żywotnie zainteresowany radny Serafiński, chcący zdobyć na Kadrzyńską-Siwek haka. Działaczki wykazały się czujnością polityczną i zanim podzieliły się wizjami rozwoju Turku, dostrzegły przymocowany taśmą do grzejnika dyktafon.

...

Wkrótce w biurach pojawiła się policja, zabezpieczyła sprzęt do nagrywania i taśmę z odciskami palców i wszczęła postępowanie. Nie było trudno schwycić sprawcy, bo dyktafon był taki sam, z jakim obnosił się radny Serafiński. Co potwierdziły odciski palców.

Prokurator nie miał zatem problemów z oskarżeniem radnego o przestępstwo podsłuchiwania i bezprawnego uzyskiwania informacji. Serafiński szedł w zaparte, upierając się, że dyktafon mu się zapodział. Oskarżyciel w to nie uwierzył. Sąd też nie, szczególnie gdy obejrzał nagranie monitoringu ze sklepu.

W mowie końcowej prokurator żądał choćby symbolicznej odsiadki, bo jego zdaniem kara grzywny nie byłaby dla radnego Serafińskiego uciążliwa. Sędzia nie do końca podzielił to zdanie i w imieniu Rzeczypospolitej wydał wyrok zobowiązujący radnego do zapłacenia 5 tys. zł grzywny i pokrycia kosztów rozprawy.

Serafiński był górą. Co prawda przegrał, ale dostał karę, która nie pozbawiała go funkcji radnego, tę bowiem można stracić tylko wtedy, gdy dostanie się bezwzględna odsiadka.

Po apelacji były kolejne rozprawy. Skończyły się na powtórzeniu wyroku i jego uprawomocnieniu. Od 8 stycznia radny Serafiński ma więc w teczce adnotację: karany.

Satysfakcję ze znikomego wymiaru kary ma też nowy klub Serafińskiego, bo gdy tylko wywalono go na zbitą twarz z Ziemi Turkowskiej, przeszedł do opozycyjnego klubu PiS-u i niezrzeszonych, gdzie został wiceprzewodniczącym.

...

Ponieważ nie udało się uzyskać wyroku pozbawiającego Serafińskiego mandatu radnego, stowarzyszenie Ziemia Turkowska nie mogło wprowadzić na jego miejsce męża urzędniczek z Urzędu Miejskiego w Turku. Stowarzyszenie wymyśliło zatem, że przy okazji najbliższego posiedzenia rady miejskiej przeprowadzi impeachment.

„To już nie jest sprawa indywidualna pana Serafińskiego, to sprawa wizerunku miasta, wizerunku i wiarygodności tej rady. Z powodu czynu pana Serafińskiego cierpi wizerunek naszego miasta. Uważacie, że się nic nie stało? Że zachowanie, za które został skazany, było moralne i etyczne?” – grzmiał reprezentujący Ziemię Turkowską radny Marcin Derucki.

„On się nie sprzeniewierzył, nie zabił, nie ukradł, nie zgwałcił” – odpowiadała na to najstarsza z radnych, Janina Kołęda. „Za podsłuchanie został ukarany przez władze sądowe. Jakim prawem my, Ziemia Turkowska, osądzamy go? Kto jest bez winy, proszę państwa, niech rzuci w niego kamieniem”.

Na to odezwał się radny Dariusz Jasak, który został skazany za łowienie ryb w miejscu nieprzeznaczonym do tego, a mimo to został radnym i jest nim do tej pory.

„To była sprawa karna, ja mogłem być pozbawiony pracy w szkole. Można być radnym? Prawo nie zabrania mi być radnym. Jeśli prawo nie zabrania teraz Karolowi Serafińskie-

mu, to dlaczego my mu możemy zabronić?” – pytał Jasak, jak mu się wydawało, retorycznie.

Nie zdzierzył tego lider Ziemi Turkowskiej, burmistrz Romuald Antosik: „Taki człowiek powinien być pozbawiony z automatu mandatu. Ślubowanie wyraźnie mówi: wierny konstytucji i prawu Rzeczypospolitej Polskiej, ślubuję uroczysto obowiązków radnego sprawować godnie, rzetelnie i uczciwie, mając na względzie dobro mojej gminy i jej mieszkańców”.

...

Procedura impeachmentu w Turku trwała kilka godzin. Skończyła się inaczej niż prawie 50 lat temu w Stanach – niczym. Radni mogą o mandacie Serafińskiego dyskutować do końca kadencji, ale nawet na milimetr nie zmienili to punktu wyjścia, który stanowi, że aby stracić stołek w radzie, Serafiński musiałby sam z niego zrezygnować. A on przecież nie jest Nixonem...

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE INNE

■ Żaden z sześciu kandydatów wyłonionych spośród trzydziestu pięciu ochotników na hejnalistów Wieży Mariackiej w Krakowie, tego kościoła przy Rynku Głównym, nie przeszedł testu sprawnościowego. Od krakowskiego hejnalisty bowiem, oprócz dymania w trąbę, wymaga się zdolności do pokonania 273 stopni w górę i w dół co godzinę. Okazało się też, że do dymania krakowskiego hejnału zatrudnionych jest sześciu hejnalistów pracujących w systemie dobowo-zmianowym: 24 godziny służby, 48 godzin wypoczynku. Nam się wydaje, że przy obecnym poziomie techniki oraz akustyki należałoby powoli odchodzić od tej kosztownej i męczącej ludzi tradycji. Nie chodzi o to, aby kogoś zwalniać. Niech czekają ci, co są, emerytury. Skoro jednak ten sam efekt bluesowego brzmienia trąby dętej siłą ludzkich płuc można osiągnąć także w Krakowie za pomocą smartfonu, wzmacniacza i kolumny głośnikowej, to chyba rachunek ekonomiczny jest jednoznaczny.

■ Po dziesięciu latach przerwy wybrzeże Bałtyku skute zostało lodem sięgającym, jak to określili świadkowie, po horyzont. Zamarzające fale utworzyły lodowe progi wysokie na 2 m. Zgodnie z oświadczeniem meteorologów wyposażonych w podgląd

satelitarny pokrywa lodowa rozciągała się od Świnoujścia po Kołobrzeg.

■ 19-letni kulturalny młody człowiek, jak go charakteryzują sąsiedzi, okazał się nie tak kulturalny, jak to można było wnioskować z wyglądu. Ów młodzieniec włamał się do mieszkania sąsiadki, mniemając, że nikogo tam nie ma, w celu dokonania kradzieży. Okazało się, że okazja uczyniła złodzieja gwałcicielem. Bez przyzwolenia bowiem młody człowiek odbył stosunek seksualny z 82-letnią kobietą, której miało w mieszkaniu nie być, ale jednak była. Stosunek zakwalifikowano jako gwałt. Gwałciciel również niewiastę pobił tak, że w szpitalu ledwo ją odratowano. A wszystko to nie działo się w Białymstoku ani w Białej Podlaskiej, ale w prawie stołecznym Nowym Dworze Mazowieckim.

■ Nie odnoszą Państwo wrażeń, że robienie przez władze obywatelom z gówna prezentu jest już bezczelnością nikogo w Polsce niedziwiac? Jakież zwolnienia z PIT-u dla tych, którzy go i tak nie płacili, jakieś obniżenie CIT-u dla przedsiębiorstw, u których i tak nie było zysku... Teraz radni okazują wielką łaskę restauratorom, m.in. w Warszawie i Krakowie – zwalniając ich z opłat koncesyjnych za alkohol, którego knajpy i tak nie sprzedają. Jest to, kurwa, wielka przysługa i dobroczynność, że samorząd nie chce pieniędzy, których i tak by nie dostał, a z moralnego oraz prawdopodobnie

prawnego punktu widzenia też się mu nie należą. Wspomniana opłata w Krakowie wynosi od 3 do 10 tys. zł rocznie.

■ John Godson, czarnoskóry poseł na polski Sejm, który zdaje się być ongiś członkiem tyłu partii, ile jest w parlamencie, wyczerpawszy możliwości kariery politycznej w Rzeczypospolitej, kandyduje obecnie na prezydenta Nigerii. W kategorii oddziaływania własnej woli na zbior-



Rys. TOMASZ WATERS

owości ludzkie, stając się prezydentem kraju liczniejszego niż Rosja i Niemcy (Nigeria liczy 206 milionów mieszkańców), Godson uzyska władzę większą od Merkel i Putina. Ponieważ jest jeszcze stosunkowo młody, z takim nazwiskiem – John Godson, co znaczy Jan Synboży – w następnych wyborach musowo kandydować będzie na mesjasza.

■ Centralna Ewidencja Pojazdów i Kierowców (CEPIK) – jeden z większych i ważniejszych systemów informatycznych państwa – szwankuje. Niektóre starostwa rejestrujące samochody i wydające prawa jazdy twierdzą, że w ogóle nie działa. Empirycznie się o tym przekonaliśmy jeszcze w czasach, gdy ów system rzekomo funkcjonował poprawnie. Udowodnienie posiadania polisy ubezpieczeniowej, której rzekomo nie było, trwało 8 miesięcy. Oczywiście to nie jest duży problem, bo co tam samochód. W następnym etapie typujemy, że wysiądą systemy ZUS-u lub urzędów skarbowych. Stanie się to jeszcze podczas panowania obecnej władzy. Ciężar dowiedzenia, że podatek został zapłacony, a emerytura się należy, spadnie oczywiście na obywateli.

■ Trzech policjantów, jak twierdziło społeczeństwo Katowic, wymuszało szantażem łapówki od miejscowych kobiet lekkich obyczajów, reklamujących się przez internet, a świadczących usługi w domach. Jedna z pań okazała się jednak bardziej przebiegła od innych. Gdy policjanci pojawili się u niej po raz trzeci, zauważyła, że oprócz klasycznych policyjnych atrybutów, odznaki, pistoletu i pałki, policjanci uzbrojeni byli także w maczetę oraz kastet, których za sadniczo policja nie używa. Ładaczniczka zawiadomiła więc policję, dzięki czemu ta uratowała swój honor. Okazało się, że szantażyści nie byli żadnymi policjantami,

tylko się pod funkcjonariuszy podszywali. Wszystkim ulżyło.

■ Niemal problem mają motorniczowie wrocławskich tramwajów, które jeżdżą po torowiskach z czasów, gdy miasto nazywało się Breslau. Jeżeli jadą za szybko, tramwaje wypadają z torów. To wymaga sprowadzenia kosztownego sprzętu, który stawia pojazdy na swoje miejsce. W rezultacie takich nieszczęść motorniczowie tracą premie. Jeżeli jednak prowadzą za wolno i tramwaje nie wypadają z szyn, okazuje się, że cykliczność sygnalizacji miejskiej jest zbyt szybka. Tramwaj pozostaje na środku skrzyżowania, gdy już ma światło czerwone. Grozi to mandatem albo częściej kolizją, która również skutkuje utratą premii.

■ Coraz lepiej powodzi się urzędnikom warszawskiego ratusza, którzy dzięki pomysłowemu radnym będą mogli wypłacić sobie wyższe honoraria za tę samą pracę. Bowiem wzrost opłat za parkowanie w płatnej strefie przynosi miastu 12 mln zł miesięcznie, natomiast z tytułu braku biletu parkingowego wystawiono od początku roku mandaty na kwotę 7,5 mln zł (250 zł sztuka). Paradoks zabawy w płatne parkowanie polega na tym, że Warszawa wydała więcej bezpłatnych kart parkingowych, niż jest w mieście miejsc do parkowania. Oznacza to, że powinny być one zajęte permanentnie i nie przynosić żadnych dochodów.

R.J.

Doniesienia pochodzą z prasy lokalnej. Odzegnujemy się od wszelkich konsekwencji prawnych fałszu, który mógł się w nie wkraść, choć ufamy, że nie przekracza on poziomu zdrowym rozsądkiem dopuszczalnego.

Członkowie spółdzielni mieszkaniowych, uważajcie na portfele.

Cztery kanty

Przyjeżdż na Górczewską, cofniesz się w czasie – śmieją się przedstawiciele stołecznych mediów. Spółdzielnię dziobią za drobiazgi: place zabaw zaniedbane, piaskownice i huśtawki pamiętają czasy Gierka.

Ciekawe jest co innego. Spółdzielnia Górczewska zarządza kupą ziemi. Na razie znajdują się na niej parkingi. A, jak wiadomo, w Warszawie brakuje terenów inwestycyjnych.

Trup

Górczewska ma radę nadzorczą. To ciało, bez którego akceptacji zarząd spółdzielni nawet nie pierdnie. Przy najmniej w teorii.

Praktyka jest taka, że każdy prezes chce tam mieć ludzi, z którymi potrafi się dogadać. Komitowa może służyć dobru spółdzielni, bo jak konie nie wierzą, to woźnica ma łatwiej, a wóz porusza się szybciej. Bywa jednak, że rada nadzorcza zostaje zdegradowana do roli dupochronu przyklepującego błędy zarządzających.

W grudniu 2020 r. jeden z członków Rady Nadzorczej Spółdzielni Mieszkaniowej Górczewska rozstał się ze światem żywych. Przepisy są oczywiste: na jego miejsce trzeba powołać osobę, która miała największe poparcie wśród przegranych kandydatów. Spółdzielnia tego nie robi. Dlaczego?

– Na opróżnione miejsce wejdzie matematyk nieskłonny do klaskania rządzącym – nie mają wątpliwości mieszkańcy. – Do tej pory prezes miał w radzie większość, teraz głosy się rozłożyły 7 do 7. Będzie zwlekać w nieskończoność.

Rada działa w niepełnym składzie od trzech miesięcy.

Duchy

Ale to pikus w porównaniu z faktem, że można podważyć funkcjonowanie wszystkich członków rady. Niby są, a jak gdyby ich nie było! Kadencja Rady Nadzorczej trwa 3 lata. Zakończyła się 5 marca 2020 r. Pod koniec lutego 2020 r. odbyło się walne zgromadzenie. Można było przeprowadzić wybory, bo jeszcze nie było COVID-u. Jednak wybory przełożono. Ulica uważa, że rządzący bali się, że stracą realną władzę. Nastroje mieszkańców były nie po myśli prezesa...

Potem wiadomo – pandemia. Wygodny pretekst, żeby demokrację odłożyć do lamusa. Bezpieczeństwo jest najważniejsze...

– Kiedy odbędą się wybory? – pytają członków nie członków rady nadzorczej.

– 6 tygodni po zakończeniu pandemii – odpowiadają zgodnie.

– Czyli kiedy?

– Nie wiadomo.

Siedmiu członków chciałoby jak najszybciej poddać się weryfikacji. Takie samo żądanie wysunęło 1200 członków spółdzielni. I nic.

Pytanie za milion złotych: SM Górczewska ma radę nadzorczą czy nie?

Przegadałam z prawnikami pół nocy. Konkluzja: jajko jest częściowo nieswieże. Organ jako taki istnieje, ale jest źle obsadzony.

Czy to znaczy, że można kwestionować decyzje klepnięte przez radę nie radę?

Można, choć nie sposób przewidzieć, co orzeknie sąd. Prawo spółdzielcze jest cienkie i pełne wewnętrznych sprzeczności, sąd może więc uznać, że nierada jest OK.

Co będzie, jeśli nierada przyjmie uchwały godzące w interes członków spółdzielni? Tak jak to zdarzyło się w Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Warszawie, największej w stolicy i najbogatszej? Albo w Śródmiejskiej Spółdzielni w Łodzi?

Tamtejsza rada nadzorcza dawała zarządowi *carte blanche*. Posługiwano się tzw. blankietowymi uchwałami, którymi prezesi mogli się w każdej chwili podeprzeć. Oficjalny powód był zbożny: chciano usprawnić proces decyzyjny. Po kilku latach wyszło na jaw, że zarząd uznawał wszystkie składane roszczenia. Dobrowolnie poddawał się egzekucji, ich zasadność nie musiała więc być weryfikowana przez sąd.

W efekcie 12 osób, w tym ściśle kierownictwo i wierzuszka Rady Nadzorczej Śródmiejskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, oskarżono o wyrządzenie wielkich szkód majątkowych.

Śródmiejska Spółdzielnia Mieszkaniowa w Łodzi zarządza wysokościami przy Piotrkowskiej. Prezes był ten sam przez 20 lat. Swoją chłop, z doświadczeniem. Po dziesięciu latach nienagannego zarządzania zaczął zadłużać firmę. Gigant wybudowany w centrum za 18 mln zł przynosił miesięczny dochód w wysokości 5 tys. zł. W tym samym czasie za odsetki od kredytu należało płacić ok. 68 tys. zł. Autor tego cudu i jego pomocnicy stanęli przed prokuratorem.

Czy członkowie rady nie rady w Górczewskiej odpowiedzą głowami, jeśli sprawy pójdą nie tak? Pytanie robi się palące, bo budowa metra finiszuje, co znacznie podniesie wartość gruntów.

Mętna woda

Relacjonowane przez media bankructwa spółdzielni, pociągające za sobą bankructwa spółdzielców, spo-



wodowały, że ludzie chcą, aby białe było białe. Bez odcieni!

Do konkursu na wiceprezesa SM Górczewska stanął Grzegorz Korytowski, szef SM Kolonia Kasprzaka.

„Nie pozwolę sobą kierować, zastraszyć, przekupić” – obiecał radzie nadzorczej. Tymi słowami zjednał wszystkich przywykłych do dzielenia włosa na czworo. Postawili na niego. Jednak nie podpisał umowy o pracę. Rezygnuję – oświadczył w ostatnim momencie.

Górczewska do tej pory leje za nim krokodyły łzy. Prezesem został Józef Bech. Miły starszy pan miał rządzić chwilę, która przedłużyła się do ponad dwunastu miesięcy.

– Jeśli mamy w przepisach, że prezes powinien być menedżerem, źle oceniamy zawodowe doświadczenie pana Becha – mówią członkowie rady nadzorczej. – Resocjalizacja plus kształt, gdy pracował jako komendant w Ochotniczych Hufcach Pracy.

Przekonują, że nie można ot tak zatrudnić pełnomocnika zarządu ds. rozwoju, bo prezesowi się uwidziało. Stanowisko powinno pojawić się w strukturze. Ponieważ plany gospodarcze muszą mieć akceptację walnego zgromadzenia, rozumie się samo

wanymi uchwałami? – Uchwała podjęta z wadą prawną pozostaje w mocy, dopóki nie uchylą jej sąd.

Przyjaciele

14 stycznia 2021 r. odbyło się spotkanie zarządu SM Górczewska z przedstawicielami firmy budującej metro. Spółdzielcy chcieli się dowiedzieć, co mogą robić na przejętej pod inwestycję ziemi.

– Razem z zarządem pojawiło się dwóch panów. Nazywano ich „społecznymi doradcami spółdzielni”. Ewentualnie „gośćmi”. To był Olgierd Dziekoński i Zbigniew Garbowski – opowiadają spółdzielcy. – Te osoby nie były w ogóle umocowane do uczestnictwa w rozmowach. Jak może przyjąć ktoś z ulicy reprezentować nas i wpływać na sposób załatwienia naszych spraw? – denerwują się.

Choć powinni być dumni, że takie grube ryby pochylają się nad ich sprawami, i to bezinteresownie.

Dziekoński był przez wiele lat wiceprezydentem Warszawy, potem podsekretarzem stanu w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego i Budownictwa, wreszcie podsekretarzem stanu w Mi-

Spółdzielcy

W Polsce jest 3,6 tys. spółdzielni mieszkaniowych. Mieszkają w nich 4 miliony ludzi. Dysponują nieruchomościami, a także ziemią w najlepszych punktach miast. Zarząd spółdzielni nie musi współpracować z czyścicielami bloków. Wystarczy, że się zagapi. Efekt jest ten sam. Spółdzielnia nie odpowiada za długi spółdzielni. Teoretycznie.

Wystarczy zabezpieczyć dług na spółdzielczych nieruchomościach. Gdy spółdzielnia zaczyna się chwiać, lokatorzy, chcąc się ratować, przekształcają mieszkania własnościowe w odrębną własność. Zgodnie z wyrokami Sądu Najwyższego nowi właściciele stają się dłużnikami wierzyteli spółdzielni. Nie szkodzi, że nigdy nie słyszeli o ciężącym na nich zobowiązaniu.

Rugi spółdzielcze – tak nazywa nowe zjawisko prof. Ewa Łętowska, nawiązując do rugów Polaków w czasach zaborów. Teraz przygotowuje się pod nie grunt – w dwóch znaczeniach.

nisterstwie Infrastruktury. Ostatnia funkcja publiczna to sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP.

Garbowski jest architektem, prezesem i właścicielem spółki Gader. Zajmuje się głównie urbanistyką i planowaniem przestrzennym, wygrał wiele przetargów w Warszawie.

Władze Górczewskiej zapewniają radnych, że spotkanie było w zasadzie towarzyskie. Bez planu ani harmonogramu. Co słysząc, aha, miło, miło...

Przyjaciele spółdzielni – mówią o Dziekońskim i Grabowskim.

Mieszkańcy boją się, że przyjdzie za tę przyjaźń zapłacić. Wkrótce.

Warszawa podwyższyła czynsze za oddane w zarząd grunty, na których nie buduje się bloków, do 1,5 mln zł. Pojawi się pytanie: płacić czy raczej pozbyć się ziemi?

Spółdzielcy chcą budować, ale w sposób transparentny, a nie przy udziale społecznych doradców.

Pytania

12 lutego 2021 r. przedstawiłam wątpliwości prezesowi i szefowi Rady Nadzorczej SM Górczewska. Ciekawiło mnie zwłaszcza, jak zaprzyjaźnić się z Olgierdem Dziekońskim, bo też przydałaby mi się porada inwestycyjna. Prosiłam też o policzenie spraw, którymi zbuntowani radni zarzucili stołeczne prokuratury i sądy, a nawet ministra Zbigniewa Ziobrę. Ile to worków papieru?

Po tygodniu zapytałam, czy panowie zamierzają odpowiedzieć. Odezwał się tylko prezes Bech. Że wolałby pogadać, bo trzeba byłoby przesłać za dużo dokumentów. Umówiliśmy się na 23 lutego 2021 r. w siedzibie spółdzielni. Godzinę spotkania mieliśmy ustalić z rana. Nie odbierał telefonu.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

TRYBUNA LUDZI

Co ma zrobić prawica, żeby przekonać do siebie młodzież?

Facebook

Darek Matyja: Poradzić się w tej sprawie Kościoła, który ma doświadczenie w kontaktach z młodzieżą.

Margaretta Cinnamon: Dając im te same drosy, którymi pasą Brauna, Bosaka i Godek.

Emil Włuka: Przede wszystkim milczeć.

Piotr Płociennik: Zatrudnić Jerzego Urbana jako rzecznika partii.

Michał Madej: Mogą zacząć od zrobienia mi kanapki, ale nie gwarantuję, że to coś zmieni. W zasadzie to jestem pewien, że to nic nie zmieni, ale kanapkę bym zjadł.

Maciej Derlatka: Nazwać się lewicą, bo poparcie dla lewicy rośnie. Proste.

Bartosz Frant: Prawica potrafi przekonać młodzież jedynie za pomocą ustawy albo przynajmniej rozporządzenia.

Michał Gągoł: To oczywiście. Jeszcze więcej papięra. Młodzież to wytrzyma.

Kamil Mitera: Usunąć ochronę Kaczyńskiego – młodzież chętnie porozmawiałaby z prezesem.

Michał Mydlowski: Zrobić więcej gier o największym Polaku, bo młodzi tylko w kąkuterze siedzą.

Robert Bogdański: Średnia hawajska dla wszystkich.

Łukasz Szczepankowski: Nauczyć młodzież malować ściany, spawać, prowadzić TIR-a, żeby nie musieli mieszać z rodzicami.

Marta Bukowiecka-Rojek: Tutaj nawet lewoskrętna witamina C nie pomoże.

Bogumił Dogumil: Po 3 tysie na 18. urodziny.

Marcin Ej: Wybrać Suskiego do rady programowej Polskiego Radia... A nie, czekaj...

Piotr Szymański: Stworzyć katolickiego Netflixsa.

Dawid Sosnowski: Uwaga, podaję odpowiedź: Jan Paweł II.

Radosław Be: Może to, co robi Kościół? Gwałcić młodzież. E, nie, to chyba zły pomysł.

Damian Fundament: Zmienić pracę i wziąć kredyt.

Krzysztofer Kowalski: Wyjechać za granicę.

Krystian Golkowski: Proste: Czarnek zmienia definicję słowa „młodzież”, klepie to Morawiecki mocą excela i od jutra młodzieżą nazywamy przeciętnego wyborcę PiS. Pawłowicz proponuje dodatkowo penalizację używania tego słowa w innym kontekście, a Jaro przepchnie to w Sejmie.

Paweł Kaczmarek: Niech zorganizują przylot DUŻEGO SAMOLOTU (dawno nie było).

Adrian Makles: Na początek owocowe środy i multisport.

Maciej Sidorski: Zaoferować pracę w młodym

i dynamicznym zespole, możliwości rozwoju i narzędzia niezbędne do wykonywania pracy, a wszystko to na umowę o dzieło.

Pokolenie Żabki: Myślę, że jak zamkną mordę, to kilka osób może nie będzie do nich zniechęconych.

Artur Paszkowiak: – Wujku Dobra Rada, co zrobić, żeby młodzież pokochała prawicę?

– To proste: niech Sejm uchwali ustawę, że młodzież kocha prawicę ponad wszystko, pierwszy długopis RP podpisze rach-ciach-ciach, kucharka dodatkowo potwierdzi „orzeczeniem” i problem z głowy!

– Świetna rada, to pyszna rada, wspaniała rada, Wujku Dobra Rada!

Marek Chochół: Nic tak nie buduje jedności i poczucia wspólnoty jak kamienowanie.

Forum

Sindbad: Młodzi mają w dupie politykę.

Paździochowa: Ona już nic nie może. Jest przegrana podobnie jak KK.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

A MEN w pacierzu

Po maturze z religii prosto na kremówki.

Ofensywa ideologiczna Przemysława Czarnka nie zwalnia tempa. Pomysłów i osiągnięć obecnemu ministrowi mogłoby pozazdrościć śp. poprzednie wcielenie Romana Giertycha. Obecny opozycjonista w czasie swoich rządów w Ministerstwie Edukacji Narodowej także chciał uczniów karmić słowem bożym, słowem patriotycznym i słowem Jana Pawła II. Po deformie edukacji, przywracającej system 9-klasowych podstawówek i 5-letnich liceów, czyli powrotu do stanu z poprzedniego wieku, przyszedł czas na powrót do średniowiecza w zakresie programu nauczania. W tym na Czarnku można polegać jak na Zawiszy. Zalewska za przeprowadzenie rewolucyjnych zmian w systemie dostała ciepłą posadę w Brukseli. W przypadku powodzenia Czarnka w krucjacie światopoglądowej można by mu np. przyznać – idąc z duchem przeprowadzanych zmian – prawo pierwszej nocy.

PiS kwestię oświaty ma wysoko na

liście rzeczy do rozpiardolenia.

Kaczyński jest przekonany, że z pomocą szkoły jest w stanie wychować Polaka na piśmowską modłę: miernego, biernego, ale wiernego i wierzącego. Widząc odwrót młodych ludzi od Kościoła kat. i tzw. tradycyjnych wartości, czyli zamordyzmu opartego na chorych wymysłach kleru, stawia na propagowanie katolicyzmu w szkołach. Uczeń osaczony encyklikami J.P2, maltretowany cytatami z katechizmu i umęczony modlitwami, ma szansę wyjść na ludzi. Przejawy krytycznego i twórczego myślenia nie są mile widziane. Świat przecież jest już opisany i uporządkowany w dziełach teologów – nie potrzeba nam mędrków, którzy będą starali się ten porządek podważyć. Aby wyeliminować możliwość obudzenia się w uczniach wątpliwości, należy przejrzyć podręczniki, zwłaszcza te od nauk humanistycznych. Tak powstaje ca „naród, który będzie dumny ze swojej historii”. Co prawda z zafalszowanej, ale co tam. Duma nie musi mieć racjonalnego podłoża.

Strategia, żeby

wszędzie wciskać Wojtyłę,

już za pierwszych rządów PiS i ministrowania Romana Giertycha była spóźniona. Godzien podziwu jest jednak upór, z jakim pisowcy lansują tę postać na autorytet moralny, intelektualny, a nawet artystyczny. Politycy średniego i starszego pokolenia wciąż nie rozumieją, że dla młodzieży J.P2 to najwyżej figura z memów, a nie postać w jakikolwiek sposób aktualna. Produkując kolejne szmelce w rodzaju gry komputerowej „Dziedzictwo kulturowe Jana Pawła II” za ponad pół miliona złotych, resort edukacji dostarcza tylko kolejnych powodów do wyśmiewania papieża, a nie skłania do refleksji nad tym podobno wybitnym pontyfikatem. Tak wybitnym, że w Watykanie wspomina się go rzadko i z niechęcią.

Wracającym regularnie w czasach rządów kleryków pomyśleć jest matura z religii. Biskupi, gdy tylko wymagają

miękkie podbrzusze polityków,

zaraz wbijają tam nóż, licząc na skapnięcie nie tyle krwi, ile tłuszczu. Tak jest i tym razem. Zarówno strona rządowa, jak i przedstawicie-



Rys. TOMASZ WIATEK

le episkopatu potwierdzają, że rozmowy na temat możliwości zdawania matury z religii trwają. Być może warto też rozważyć zmianę nazwy z „egzamin dojrzałości” na „sakrament dojrzałości chrześcijańskiej” i połączyć rozdanie świadectw z bierzmowaniem.

Matura to jeden z ostatnich przyczółków niezdobytych przez kler. Pomysł był wielokrotnie dyskutowany, ale dotychczas nie udało się go zrealizować. Bardziej sprzyjającego klimatu prawdopodobnie nie będzie. Związany z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim Czarnek w zapale ewangelizacyjnym prześciga wszystkich poprzedników na ministerialnym stołku. Ma przy tym błogosławieństwo jednoosobowej wierzuszki PiS, a także aplauz działaczy niższego szczebla i sympatyków partii. Zwiedzenie młodych dusz na parafialne manowce jest głównym celem szefa resortu, który w założeniach miał zajmować się rozwojem intelektualnym człowieka. Czarnek wjechał do ministerstwa na wstecznym.

Maturę zdawać można było też z tak egzotycznych dziedzin jak np. wiedza o tańcu. Pominąwszy nawet to, że wiedza o płaśniu ma jednak pewne oparcie na ziemi, to wszystkie przedmioty, z których można zdawać maturę, są pod kontrolą ministerstwa. Z religią jest inaczej. Program ustala episkopat, katechetę w szkole wyznacza biskup. Na żadnym etapie państwo ani samorząd nie mają możliwości wpływania na przekazywane treści ani weryfikowania kompetencji nauczycieli. Trudno sądzić, że inaczej byłoby przy maturze.

Arkusze egzaminacyjne przygotowałyby wyznaczeni do tego teologowie, sprawdzaliby zaś wyznaczeni katecheci. Przy okazji można więc dać zarobić swoim. Przecież nie będą pracować za darmo. Ale też nie pozwolą kontrolować swojej pracy, bo to

wewnętrzna sprawa Kościoła.

Sprawą wspólną jest tylko kwestia wynagrodzenia. Tak jak było od początku z katechetami, którzy niby mieli pracować za friko, byleby im tylko udostępnić w szkołach sale do katechezy. Wkrótce okazało się, że katecheci to tacy sami nauczyciele jak inni, nale-

ży im się więc taka sama pensja. Ale oczywiście nie mają takich samych obowiązków wobec ministerstwa, bo pełnią misję w imieniu Kościoła. Tak skomplikowanych rachunków nie ma nawet na rozszerzonej maturze z matematyki.

Matura z religii jest wisienką na torcie absurdu związanego z obecnością katechetów w szkołach. Ministerialni urzędnicy tłumaczą, że skoro już religia w szkołach jest, a oceny wystawiane przez księży i zakonnice liczą się do średniej, to dlaczego nie umożliwić uczniom zdawania matury z tego przedmiotu.

Taka bezczelność potwierdza tylko przypuszczenie, że politycy traktują ludzi jak idiotów z pamięcią złotej rybki.

Każdy kolejny etap poszerzania wpływu kleru w szkole był oprostowywany przez ludzi mających minimum przyzwoitości i rozsądku. Po upływie pewnego czasu, gdy ludzie już się przyzwyczaili, proponowano kolejne udogodnienia i metody indoktrynacji. To trochę jak z krzyżem w Sejmie: powieszono go w nocy i bez zgody większości parlamentarzystów, ale skoro wisi, to niech już wisi. Kiedyś „dowiesi się” jeszcze obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Argument, że skoro religia jest w szkołach, to powinna być i na maturze, uraga logice. Katecheza weszła do szkół

na zasadzie kółka zainteresowań,

równie dobrze można by umożliwić zdawanie matury z judo, szachów czy salsy. Bo i czemu miałby taki egzamin służyć, poza napychaniem portfeli kościelnych pseudonaukowców? Jak ktoś chce iść na teologię czy do seminarium i koniecznie podkreślić swoją licealną wiedzę o Boży, to ma Olimpiadę Teologii Katolickiej – niech się tam wykazuje. A najlepiej niech się weźmie za naukę, a nie trzyma głupot.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com



1. O tym, że Joe Biden nie jest prawdziwym katolikiem, bo nie ma zamiaru zakazać aborcji, amerykański episkopat mówi od dawna. Atoli ostatnio arcybiskup Kansas City Joseph Naumann posunął się krok dalej. Obowiązkiem episkopatu jest korygować prezydenta w kwestii jego wyznania: „Prezydent powinien przestać określać siebie jako gorliwego katolika i przyznać, że jego pogląd na aborcję jest sprzeczny z katolicką nauką moralną. Byłoby uczciwsze, gdyby powiedział, że nie zgadza się ze swoim Kościołem w tej ważnej kwestii i że postępuje wbrew nauczaniu Kościoła. Gdy mówi, że jest katolikiem, my, biskupi, mamy obowiązek go poprawić”. Prezydent Biden zgadza się ze swoim Kościołem, tylko nie uważa, żeby miał prawo narzucać tę zgodę wszystkim obywatelom USA. Ale inkwizycja jak zwykle pogardza taką sofistyką.

2. Z kolei biskup Alan McGuckian z Raphoe w Irlandii jest oburzony, iż kraj od grudnia pozostaje w najwyższym piątym stopniu lockdownu i msze odbywają się online. „Wiem, że niektórzy z was czują, że współpracując w pełni z rządem, akceptujemy fałszywe stwierdzenie, że Bóg, nabożeństwa i nasze publiczne świadectwo nie są zaspokajaniem niezbędnych potrzeb” – oświadczył biskup i wezwał wiernych do „uświadomienia przywódcom politycznym, że Bóg i oddawanie Mu cześć są dla nas najważniejsze; są absolutnie niezbędne”. Wątpięcy powiedział: „Być może czujesz się całkowicie niegodny bożej miłości i troski; może to nie mieć dla ciebie sensu, ale Bóg desperacko pragnie być z tobą”. Nie wytłumaczył jednak, dlaczego – wobec swego desperackiego pragnienia otwarcia kościołów – Bóg nie zakończy zarazy. Chyba może, nie?

3. Brazylijski biskup połowy Fernando Jose Monteiro Guimaraes ogłosił, iż jego podwładni nie będą korzystać z materiałów wielkopostnych przygotowanych przez Kampanię Braterstwa Ekumenicznego, zrzeszającą różne chrześcijańskie Kościoły, gdyż „ewangelizacja wiernych w okresie postu nie jest okazją do dialogu na kontrowersyjne tematy”. Oburzenie biskupa zrodziła fraza: „Kolejną grupą społeczną, która cierpi w konsekwencji systemowej polityki i przemocy, jest społeczność LGBTQ+” oraz informacja, że „193 osoby LGBTQ+ zostały zamordowane w 2017 r.; zabójstwa są skutkiem mowy nienawiści, religijnego fundamentalizmu, i głosów przeciwko uznaniu praw mniejszości”. Faszyzujący i bardzo religijny prezydent Brazylii Jair Bolsonaro mówi o sobie: „Jestem homofobem i jestem z tego dumny”.

4. Inna radosna wieść z Brazylii, która dźmierzy drugie miejsce w świecie pod względem ofiar koronawirusa – zaraz po USA. Spory udział w tym procesie ma zapewne prezydent Bolsonaro, który opowiada ze swadą, że maski są dla „ciot”, a producenci szczepionek nie gwarantują ich bezpieczeństwa, toteż jeśli „zamienisz się w aligatora, supermana albo kobietę wyhoduje brodę – to nie moja wina”. Mimo działań prezydenta spora grupa bohaterów medyków usiłuje szpeczyć 800-tysięczną populację żyjących w dżungli rdzennych plemion brazylijskich, szczególnie zagrożonych wirusami docierającymi z cywilizacji. Nie do końca im się to udaje – tam gdzie wcześniej dotarli misjonarze z fundamentalistycznych wspólnot, lekarze witani są strzałami z łuku, albowiem wierni usłyszeli od swych pasterzy, że po zaszczepieniu mogą zamienić się w aligatory.

5. Dwaj republikańscy senatorowie stanowi z Tennessee, Mark Pody i Jerry Sexton, zgłosili projekt rewolucyjnej ustawy w obronie praw ojców. Daje ona mężczyźnie prawo weta wobec zamiaru przerwania ciąży przez kobietę. Co szczególnie interesujące: w zasadzie każdemu mężczyźnie. Nie musi być koniecznie ojcem „dziecka poczętego”; zgodnie z projektowanym przepisem, żeby dowieść swego ojcostwa, wystarczy, że facet „dziecko poczęte” uzna; test DNA nie będzie wymagany. Jeżeli na rozprawie mężczyzna wykaże, że istnieje „uzasadnione prawdopodobieństwo”, że kobieta zechce przerwać ciążę, i oświadczy, że się nie zgadza, sąd wyda zakaz, a jego złamanie będzie traktowane jako obraza sądu. Projekt nie przewiduje wyjątków dla sprawców gwałtu lub kazirodztwa.

6. Indonezja ma największą islamską populację na świecie, liczącą 225 milionów. Ma także konstytucyjną gwarancję wolności sumienia i wyznania. Konstytucja nie zabrania wszakże władzom dbania o zdrowie obywateli. Dlatego burmistrz miasta Padang, Fauzi Bahar, wydał rozporządzenie w sprawie mundurków szkolnych dla dziewcząt, które do złudzenia przypominały hidżab. Ale bynajmniej nie z przyczyn religijnych: „Powodem było to, żeby uczennice mogły uniknąć ukąszenia przez komary zarażone dengą. Po tym jak założyliśmy hidżab dziewczętom, liczba uczniów zapadających na dengę dramatycznie spadła, ponieważ nie było miejsca, w którym komary mogłyby je ugryźć. Kiedy dziewczyny nie były zasłonięte, komary gryzły ich nogi, uda, ramiona i szyję. Kiedy ciało zostało zasłonięte, komary nie miały miejsca do gryzienia”.

7. Kreacjonista Ken Ham jest głęboko oburzony kosztem łazika marsjańskiego. „Tak się właśnie kończy, gdy badania naukowe motywowane są przez światopogląd ewolucyjny. NASA wydaje 3 mld dolarów, aby sprawdzić, czy kiedyś istniało życie na Marsie. Ile można by osiągnąć, gdyby te 3 miliardy wydać na pokazanie ludziom, że życie na Ziemi nigdy nie mogło wyewoluować w wyniku naturalnych procesów i że pierwszy wers Biblii został potwierdzony przez naukę: »Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię«”. W razie czego Ham gotów jest przyjąć na siebie ten ciężar. Jest bowiem właścicielem biblijnego parku tematycznego „Spotkanie w Arce”, którego główną atrakcją jest 150-metrowa drewniana łódź mająca być repliką arki Noego. Ostatnio ma kłopoty finansowe w związku z uszkodzeniami arki spowodowanymi przez obfite opady deszczu.



Rysunki TOMASZ WIATEK

Pacykarze z IPN

Ile Polaka było w poległym za Polskę milicjancie?

Ustawa o zakazie propagowania komunizmu lub innego ustroju totalitarnego została przyjęta 5 lat temu. Było, minęło: komuniści i faszyci zlecieli z cokołów. Dr Piotr Szopa, naczelnik ds. upamiętnień w Instytucie Pamięci Narodowej z Rzeszowa, rozpoczął kolejny etap: retuszowanie pomników ludzi poległych w obronie polskości Podkarpacia.

Pana dekomunizacja jest depolonizacją! – rozwrzeszczał się historyk prof. Andrzej Zapałowski. Jest członkiem Komitetu Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa działającego przy rzeszowskim IPN i powinien dogadywać się z Szopą przy herbatce. Tymczasem nie przebiera w słowach: – Bez rozumu... Bez poczucia kontekstu... Jak koń dorożkarski...

Trupy w studni

W Birczy mieszka 1000 osób. Miasteczko jest znane z tego, że w latach 1945–1946 trzykrotnie próbowała je zdobyć Ukraińska Powstańcza Armia. Ludowe Wojsko Polskie wspólnie z funkcjonariuszami MO, ORMO i UB ocaliło Birczę dla Polski.

W 1976 r. Rada Państwa nadała miejscowości Order Krzyża Grunwaldu III klasy za walkę o wyzwolenie ojczyzny. To uzasadnienie ujdzie nawet dzisiaj. Ale dalej napisano: „...i o utrwalanie władzy ludowej”. Wyzwolicielem i utrwalaczem w jednym człowiekiem?!

Pamiętacie? W 2018 r. przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie zawisły tablice z nazwami 21 miejscowości, które bohatersko broniły się przed atakami UPA. Była wśród nich Bircza. Przez dzień. Na polecenie ówczesnego szefa MON Antoniego Macierewicza tablicę wymieniono na nową – bez Birczy.

Żołnacy leży kwadrans drogi od Birczy. Chałupy, niektóre do dziś kryte słomą, przycupnęły nad zmiernym do Sanu Jawornikiem. Tylko 160 mieszkańców.

Od lipca 1944 r. do lutego 1945 r. zginęło tutaj 45 osób. Dwóch księży, czterech milicjantów, trzech polskich żołnierzy, gajowy, pomocnik sekretarza gminy, urzędnik, członek gminnej rady narodowej i 32 rolników. Dwie polskie rodziny zostały wrzucone do studni. 9 kwietnia 1945 r. UPA wypędziła pozostałych Polaków. 20 kwietnia 1945 r. Ukraińcy spalili wieś, wymordowali przesiedlonych... 17 kwietnia 1945 r. banderowcy zatłukli wracające z Przemysłu furmanką Janinę Maliczowską i Emilię Ulanowską. Jedna miała 21 lat, druga 22.

Synowie

Milicji Obywatelskiej brakowało ludzi, gdy więc chłopcom zaczynał sypać się wąż, właśnie tam głośzali się po broń.

– Gdzie ty, dziecko, idziesz? – wspomina Paulina Beńko z Birczy. – Powiedział: Na posterunek... Lat 17, chłopaczek małutki, ale poszedł...

Marianna Flader: – Mój syn poszedł na pomoc milicji. Wracał do domu. W Piątkowej na mostku, tam go zastrzelili...

Sprawy najważniejsze

Andrzej Zapałowski widzi to tak, streszczam: To był czas, gdy ważyły się losy tych ziem. Nikita Chruszczow był pierwszym sekretarzem Komunistycznej Partii Ukrainy. Autoryzował poczynania UPA, bo chciał, aby Pogórze Przemyskie znalazło się po tamtej stronie granicy. W życiu wiele się zmienia. Państwowe granice – najtrudniej. Celem ukraińskiego podziemia była destabilizacja i depolonizacja Pogórze Przemyskiego. Wie to każdy rozumny człowiek.

Przy wielu okazjach dodaje: – Należy pamiętać, iż szeregowcy byli brani do Wojska Polskiego i nie mieli wpływu na to, gdzie będą służyć! Oficerowie, którzy przyczynili się do powstania wolnej Polski w 1918 r., wcześniej służyli w armiach zaborców. I co?

A także: – Miejscowi Polacy się bronili. Po prostu chcieli żyć.

Historyk jest przeciwko mierzeniu, ile było Polaka w Polaku. I czy w milicjancie broniącym polskości tych ziem jest tak mało Polaka, że trzeba go wymazać z pamięci.

Co za różnica?

W Żohatynie jest tablica upamiętniająca poległych. Nawet IPN przyznał: bronili mieszkańców gminy Bircza przed agresją UPA. Jednak nakazał zmienić napis. Człowiek w uniformie milicjanta albo żołnierza Armii Ludowej nie mógł zrobić nic dobrego! Nawet wykitować w słusznej sprawie.

Zatem nazwiska tak, ale o formacjach ani słowa.

Po co komu wiedzieć, w jakich mundurach zginęli obrońcy? Umówmy się, że byli w czarnych pelerynach i maskach. Jak Zorro...

Myslicie, że to koniec kłopotów z tablicą w Żohatynie? Skąd. Wprawdzie nie planowano ekshumacji ani powtórnego pochówku zabitych, ale IPN lubi liczyć trupy. Zrobiono kwerendę archiwalną. I wyszło, że dwie osoby zginęły gdzieś indziej. Nie w Żohatynie! No i co, że miejscowi pamiętają inaczej?

Może z dobrą popitką prawdziwki mogłyby to wszystko przełknąć. Jednak należało zamontować nową słuszną tablicę. Nie zamontowano nic. Straszą kikuty.

Na rynku w Birczy stoi pomnik ku czci jej obrońców. Rada gminy uchwaliła inskrypcję: „Żywi to pamiętają. Żywi dziś czuwają. W hołdzie żołnierzom Wojska Polskiego, Wojsk Ochrony Pogranicza, Milicjantom, członkom lokalnej samoobrony, podziemia niepodległościowego poległym w walce z oddziałami zbrodniczych formacji OUN i UPA na terenie gminy Bircza w latach 1944–1947”.

Zalecany przez IPN napis brzmi: „Pamięci obrońców Birczy i okolicznych miejscowości poległych w walce z oddziałami zbrodniczych formacji OUN i UPA w latach 1944–1947”.

Zginęli zupełnie

W IPN słyszę, że zdewastowane, budzące grozę pomniki to wina samorządu. On powinien o nie dbać zgodnie z instrukcjami. Problem w tym, że trudno wójtów i burmistrzów przymusić.

Owszem, są pozytywne przykłady. Na przykład Lesko. Choć nieoczekiwanie w ostatnich wyborach samorządowych burmistrzem został tam kandydat niezależny Adam Snarski.

W styczniu 2019 r. IPN poinformował go, że pomnik ku czci obrońców może zostać, ale po dokonaniu zmian. Zalecono „zastąpienie orla bez korony orłem nawiązującym do obowiązującego godła państwa polskiego”. Dodatkowa uwaga: niektórzy wymienieni milicjanci nie zginęli w walkach z UPA, ale podczas nieszczęśliwych wypadków. Czyli trzeba zdjąć tablicę z nazwiskami 52 poległych.

– Niezrealizowanie inwestycji groziło grzywną – zdradzają w magistracie. – Monitorował nas nadzór budowlany...

Wycięli nazwiska. Potem czerwoną tablicę: „W hołdzie poległym milicjantom – społeczeństwo leskie 1946 r.”. W końcu orla.

Na razie jest tylko tablica. Czarna. Z rekomendowanym przez IPN napisem: „Pamięci poległych i pomordowanych w walkach z OUN-UPA w latach 1944–1947 społeczeństwo Leska”.

– Walczyli, oddali życie i zginęli. Zupełnie zginęli – komentują miejscowi.

Może jednak nie. Tablice i orzeł czekają w magazynach urzędu na lepsze czasy. Historyk Andrzej Zapałowski w polemicznym uniesieniu ujawnił, że komitet zbierający w USA kasę na renowację podkarpackich pomników ma się nieźle i tworzy filie w Europie.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl



Jebać PiS

Kochać IPN

Doktor Fasystus

Błąd młodości czy błąd systemu?

Dr Tomasz Greniuch ma rację, gdy mówi, że jego uwiecznione na zdjęciach heilowanie to błąd młodości, który nie powinien pozbawić go stanowiska dyrektora wrocławskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej. Młodzi ludzie robią głupie rzeczy i nie byłoby sprawiedliwe, gdyby zamykało im to drogę kariery na całe życie. Przyczyny, dla których ktoś taki jak Greniuch nie powinien nigdy pracować w państwowym instytucie historycznym, tkwią nie w jego gówniarskich wybrykach, tylko w jego pracy.

W pełnym wyrozumiałości dla siebie samego oświadczeniu, wydanym po wybuchu gównoburzy wokół mianowania heilującego nazioła szefem oddziału instytutu mającego ścigać zbrodnie nazistowskie, Greniuch opisuje swoją działalność w ONR jako „młodzieńcze odkrywanie otaczającego świata”. I dodaje z dumą: „W 2013 roku wybrałem drogę historyka, badacza, poszukiwacza prawdy. Konsekwencja i upór w dążeniu do celu, bez względu na przeciwności losu (a było ich bardzo wiele), zaprowadziły mnie do Instytutu Pamięci Narodowej”.

W tym właśnie problem: sposób, w jaki pan Greniuch rozumie „poszukiwanie prawdy” przez „historyka”, jest w pełni zgodny z tym, który obowiązuje w IPN. A także, generalnie, wśród szafarzy polityki historycznej z obecnej i poprzedniej ekipy rządzącej; przypomnijmy, że proces ustanowienia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych zaczął prezydent Kaczyński, ale zakończył Komorowski.

Swoją doktorat – przepustkę do kariery „historyka IPN” (szczególna odmiana historyka) – pan Greniuch poświęcił oddziałowi kpt. Henryka Flamego „Bartka”, oczywiście z Narodowych Sił Zbrojnych. Do pojęcia istoty tej pracy wystarczy w zasadzie tytuł doktoratu: „Chrystus za nas, my za Chrystusa” – ale jednak skusimy się na poznanie dzieła nieco bliżej. A to dzięki entuzjastycznej recenzji innego wybitnego przedstawiciela gatunku „historyka IPN” – prof. Jana Żaryna, w chwili pisania recenzji senatora PiS.

Pan Żaryn zaczyna recenzję pracy naukowej Greniucha od kwerendy jego politycznej aktywności: „Autor jest publicystą w pismach ideowo historycznych (...), korporantem i działaczem politycznym związanym z organizacjami odwołującymi się do dorobku obozu narodowego”. Następnie prof. Żaryn zastanawia się, czy „utożsamianie się zbytnie ze swoim bohaterem i jego środowiskiem może stanowić ograniczenie twórcze” – i odpowiada sobie, że absolutnie nie: „W tym przypadku jednak autor potrafił wykorzystać pozytywne emocje, które posłużyły mu do przeprowadzenia wyjątkowo rzetelnej kwerendy”.

Gdyby ktoś się jednak zastanawiał, co w oczach prof. Żaryna oznacza „rzetelność” w podejściu do przedmiotu studiów naukowych – jakim według niektórych staroświeckich przekonań powinien być doktorat – to odpowiedź znajdzie w podsumowaniu recenzji: „Dawno nie byłem na Baraniej Górze; mam nadzieję, że autor zadbał o to, by tam – na stosownej tablicy upamiętniającej – turyści mogli przeczytać historię »Bartka« i jego żołnierzy. War-

to także wytyczyć nowy szlak »Bartka« lub istniejący nazwać jego imieniem”.

Jeśli recenzent wzywa doktoranta do „upamiętnienia” bohatera doktoratu, to można założyć, że nie dostrzega w nim postaci kontrowersyjnej.

Tymczasem – poza typowymi dla NSZ akcjami bandyckimi, zwanymi „ekspropiacją” –

opiewani przez Greniucha bohater-scy „chłopczy i dziewczęta” po prostu mordowali cywilów.

24 lipca 1945 r. w Bielsku zabili działaczkę Związku Walki Młodych Janinę DREWNIĄK. 1 listopada 1945 r. w Czechowicach wrzucili granat do mieszkania członka Polskiej Partii Robotniczej, szefa Rady Zakładowej kopalni „Silesia” Józefa Szczotki, zabijając go i jego żonę i przypadkiem omijając kilkumiesięczne dziecko. 8 kwietnia 1946 r. w Hecznarowicach zabili członka PPR i jego 13-letnią córkę. W Pisarzowicach córka miała więcej szczęścia: wprawdzie zabili jej ojca, ale jej tylko ogolili głowę. Kilka dni później na Białtynie bohaterowie zastrzelili dwie kobiety podejrzewane o współpracę z Urzędem Bezpieczeństwa, a 4 miesiące później z tego samego powodu – 16-letniego chłopaka. W nocy z 17 na 18 lipca 1946 r. w Czechowicach porwali, torturowali i rozstrzelali dwóch braci Kempnych, działaczy ZWM, wcześniej ciężko pobijawszy ich ojca. 31 grudnia 1946 r. w Soli ciężko pobili Jana Habdasza, który na zebraniu gromadzkim w miejscowej szkole źle wypowiadał się o NSZ – ale to ich nie usatysfakcjonowało, wobec czego zastrzelili dyrektora szkoły Jana Duska. W sumie z rąk oddziałów „Bartka” zginęło 60 cywilów i 127 mundurowych, z czego bynajmniej nie wszyscy w walce. Bohaterowie rozstrzelali np. ośmiu milicjantów wziętych do niewoli po potyczce na Białtynie 3 maja 1946 r. oraz – rok później – radzieckiego żołnierza Iwana Morozowa, który jechał z Wiednia do Lwowa i zabrakło mu benzyny, zatrzymał się więc na noc w Grodźcu.

„NSZ – legendarna armia Podziemnej Polski, w której tysiące chłopców i dziewcząt w swej młodości i entuzjazmie, zapalonych idealizmem i wiarą, szły do walki, a tarcze ryngrafów z Matką Bożą chroniły ich młode piersi przed wrogią kulą” – pisze o swoich bohaterach doktor historii Tomasz Greniuch.

W 2009 r. przy okazji którejś z wcześniejszych zadyń wokół IPN Karol Modzelewski mówił: „Historyk zaangażowany w politykę jest zawodowo zgubiony. My go zadziobiemy. I daję słowo honoru – słusznie”.

Tym razem profesor się mylił. Pod władzą PiS rządowi propagandziści znani jako „historycy IPN” zadziobią wszystkich innych.

Jak powiedział ponoć towarzysz „Wiesław”: „I oto, towarzysze, stanęliśmy przed hamletowskim pytaniem kto kogo”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Święto morderców

Co roku w Polsce popełnianych jest kilkaset morderstw, ale bandyci trafiają do więzień, a nie na karty historii jako bohaterowie. Inaczej niż tzw. żołnierze wyklęci.

Sąd Okręgowy w Toruniu skazał na 25 lat więzienia dwóch mężczyzn za zabójstwo 39-letniej kobiety. Ofiara została pobita drewnianą pałką oraz zadano jej kilkadziesiąt ciosów nożem. Na jej ciele stwierdzono ślady po próbie odrabiania głowy toporkiem, brak kilku palców obciętych szczypcami na obu dłoniach oraz uszkodzenia ust i nosa. Sprawcy obrabowali zwłoki z biżuterii. Powodem tej

makabrycznej zbrodni

– jak tłumaczyli sprawcy – było podejrzenie, że kobieta doniosła policji, że jeden z nich znęcał się nad narzeczoną.

Zgodnie z kodeksem karnym, „kto zabija człowieka, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 8, karze 25 lat pozbawienia wolności albo karze dożywotniego pozbawienia wolności”, gdy zbrodnia popełniona jest ze szczególnym okrucieństwem albo w wyniku motywacji zasługującej na szczególnie potępienie.

Za kilkadziesiąt lat nikt już nie będzie pamiętał o zbrodni w Toruniu, ale być może rządzić będą spadkobiercy ideów Kaczyńskiego, Ziobry i Gowina, którzy wyciągną z archiwów sądowych pozostałości akta. Mordercy zostaną zrehabilitowani, bo przecież „tylko” wymierzili karę donosicielce, która ingerowała w życie rodzinne.

1 marca obchodzony będzie hucznie Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych – jak

kłamliwie napisano

w preambule do ustawy ustanawiającej święto – „bohaterów antykomunistycznego podziemia, którzy w obronie niepodległego bytu Państwa Polskiego, walcząc o prawo do samostanowienia i urzeczywistnienie dążeń demokratycznych społeczeństwa polskiego, z bronią w ręku, jak i w inny sposób, przeciwstawili się sowieckiej agresji i narzuconemu siłą reżimowi komunistycznemu”.

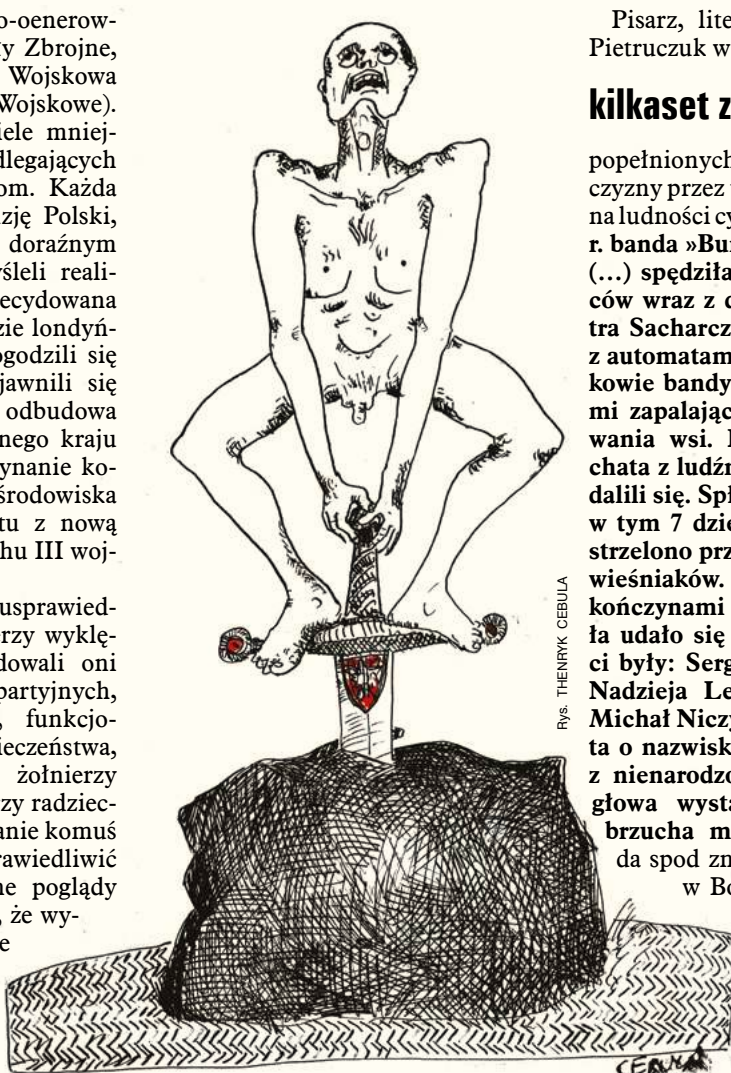
Podziemie antykomunistyczne nie było jednorodne, ale rozdrobione i skłócone wewnętrznie między tzw. obozem londyńskim (m.in. Armia Krajowa oraz Wolność i Niezawisłość) a obozem endecko-oenerowskim (m.in. Narodowe Siły Zbrojne, Narodowa Organizacja Wojskowa i Narodowe Zjednoczenie Wojskowe). Do tego należy dodać wiele mniejszych zbrojnych band podlegających jedynie lokalnym watażkom. Każda ze stron miała własną wizję Polski, kierowała się własnym doraźnym interesem. Ci, którzy myśleli realistycznie (a takich była zdecydowana większość zarówno w obozie londyńskim, jak i endeckim), pogodzili się z nowym porządkiem, ujawnili się i złożyli broń. Dla nich odbudowa zniszczonego i wycieńczonego kraju była ważniejsza niż wszczynanie kolejnych rzezi. Natomiast środowiska skrajne parły do konfliktu z nową władzą, wyczekując wybuchu III wojny światowej.

Reżimowa propaganda usprawiedliwiała zbrodnie tzw. żołnierzy wyklętych, twierdząc, że mordowali oni komunistów (działaczy partyjnych, urzędników, milicjantów, funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, rzekomych konfidentów, żołnierzy Wojska Polskiego i żołnierzy radzieckich), tak jak gdyby odebranie komuś życia można było usprawiedliwić tym, że ofiara miała inne poglądy polityczne. Przemilcza się, że wyklęci nie mieli litości także dla ludności cywilnej, kobiet, dzieci, starców. Mordowali Polaków, Żydów, Ukraińców, Białorusinów, Słowaków, Litwinów. Liczbę ofiar cywilnych tzw. żołnierzy wyklętych szacuje się co najmniej na 5 tysięcy. Jak skrupulatnie obliczył Tadeusz Kosowski, wśród

zbrojnego było m.in. 2655 rolników i 691 gospodyń domowych oraz 187 dzieci do lat 14. Zamordowanych zostało co najmniej siedmiuset Żydów. Opisywaliśmy (m.in. „Rzeźnicy z NSZ”, „NIE” nr 23/2011) największą zbrodnię, do jakiej doszło po zakończeniu wojny we wsi Wierzchowiny, gdzie ponad 300-osobowy oddział Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ) pod dowództwem kpt. Mieczysława Pazderskiego „Szarego” dokonał ludobójstwa, w bestialski sposób mordując około dwustu mieszkańców, w tym głównie kobiety i dzieci (najmłodsze miało kilka miesięcy), tylko dlatego, że byli Ukraińcami. Jeden z ocalałych świadków zbrodni mówił, że partyzanci, zanim podrzynali gardła lub rozstrzelali, „gwałcili kobiety i wbijali im w przyrodzenie flaszki”. O ofiarach nikt nie pamięta, za to w kościele św. Eliasza w Lublinie wisi tablica upamiętniająca „Szarego”.

ofiar podziemia

Podobnych zbrodni jak „Szary” dopuścili się inni „bohaterowie” piśmowskiej władzy, m.in. Józef Kuraś „Ogień”, Romuald Rajs „Bury” czy Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”. Według moich obliczeń tylko bandy „Szarego”, „Ognia”, „Łupaszki” i „Burego” odpowiadają za śmierć około siedmiuset cywilów.



RYA THIENRYK CEBULA

Pisarz, literat i publicysta Bazyli Pietruczuk w „Księdze hańby” opisał

kilkaset zbrodni

popełnionych na terenie Białostoczczyzny przez tzw. żołnierzy wyklętych na ludności cywilnej. M.in. „29.1.1946 r. banda »Burego« we wsi Zaleszany (...) spędziła wszystkich mieszkańców wraz z dziećmi do domu Dmityra Sacharczuka i okrażając go (...) z automatami podpaliła. Inni członkowie bandy w tym czasie pociskami zapalającymi podpalali zabudowania wsi. Po upewnieniu się, że chata z ludźmi spłonie, bandyci oddalili się. Spłonęło żywcem 14 osób, w tym 7 dzieci, 2 mieszkańców zastrzelono przed domem spędzonych wieśniaków. Innym z poopalnymi kończynami i innymi częściami ciała udało się uratować. Wśród dzieci były: Sergiusz Leończuk – lat 1, Nadziejka Leończuk – 2 tygodnie, Michał Nicyporuk – lat 16, a kobieta o nazwisku Nicyporuk spłonęła z nienarodzonym płodem, którego głowa wystawała z zasmażonego brzucha matki”. Inna leśna banda spod znaku AK w maju 1945 r. w Boćkach na oczach matki i jego siostr zastrzeliła 11-letniego Staszka Zielińskiego, za to, „że radzieckim żołnierzom, którzy go o to zapytali, pokazał drogę do Milejczyc”.

Ci sami leśni bandyci „wywlekli z pościeli Józefa Dmitruka i na progu sieni wypruli mu mózg automatem, po czym posadzili mu na brzuchu jednoroczne dziecko i oddalili się w kierunku wsi Planta (obecnie Świdzianówka) koło Góran. Po drodze (...) zastrzelili 25-letniego mężczyznę, ze wsi Planta zabrali sołtysa, robotnika leśnego – Włodzimierza Jacewicza, któremu w lesie wypalili oczy i wycięli język”.

Ogłoszony przez media

„polskim Hannibalem Lecterem”

Kajetan P, który najpierw zadągał nożem lektorkę języka włoskiego, a potem poćwiartował jej ciało, dostał dożywocie.

Bardziej wyrafinowani byli tzw. żołnierze wyklęci, którzy np. rozcinali brzuchy kobietom w ciąży, prawosławnym duchownym i ich rodzinom wydłubywali oczy, wycinali języki, obcinali uszy i nosy. Mordowali siekierami i widłami.

Zakopywali żywcem w ziemię aż po głowę „winowajców” prawosławnych, a następnie wokół tej głowy rozpalali ognisko i palili ją na wolnym ogniu. Zonie popa obcięli piersi, polali benzyną rany i podpalili, przyglądając się, jak umiera w mękach.

W powiecie hrubieszowskim wyklęci wymordowali rodzinę Wasilczuków, polskich przesiedleńców zza Bugu. Świadek tak opisał tragiczne zdarzenia: „Było (...) osiem osób, w tym jedna kobieta w ciąży. (...) Kiedy wszystkich z tej rodziny pomordowano i już nikt nie żył, sama ta kobieta wciąż jeszcze się długo rzucała. Doty były już wykopane, nie czekano na nią, zakopano żywcem”.

Wyklęci dopuścili się także licznych zbrodni wojennych na pojmanych jeńcach radzieckich. W „Księdze hańby” przytoczono relację świadka, który opisał przestępstwa jednej z poakowskich band: „Na szosie wiodącej z Sokółki do Krynek w miejscowości Słójka zatrzymali samochód z 12 żołnierzami radzieckimi wracającymi z frontu. (...) Żołnierzy powiązali kołczastym drutem i popychając kolbami karabinów, pognali do wsi Pokorszyniec koło Wierchlesia. Tam rozebrano żołnierzy do bielizny, pokłuto bagnietami i tak pokaleczonych wrzucono do leju po bombie, przykryto chrustem i podpalono. Z ognia wydobywały się przeraźliwe jęki i błaganie o ratunek. Na próżno”.

Paliwem napędowym popełnianych zbrodni była nie tylko demoralizacja, ale też katolicka, antydemokratyczna i

nacjonalistyczna ideologia

z okresu przedwojennego. Wyklęci wychowani byli na nienawiści do mniejszości narodowych, innowierców i Żydów, których oskarżano o promowanie szkodliwych dla polskości idei komunizmu, socjalizmu, liberalizmu i masonerii. Gdy uzbrojeni po zęby wyklęci natknęli się na element obcy, nie mogli mu przepuścić. Aż strach pomyśleć, jak wyglądałaby powojenna Polska, gdyby bandy „Łupaszki”, „Ognia”, „Burego” i „Szarego” przejęły władzę i decydowały o przyszłości kraju.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

REKLAMA

Krystyna Kacpura
Kobietom było źle. Jest tragicznie

Grzegorz Jarzyna
Gramy inaczej niż reszta teatrów

Dr Paweł Bukowski
Polskie podatki to kuriozum

Miliard utopiony
w Elektrowni Ostrołęka

Przegląd

EMERYT SPOD WADOWIC WYKIWAŁ IPN

FAŁSZYWY „WYKLĘTY”

www.tygodnikprzegląd.pl

TRYBUNA
Czeka w kiosku!

A w niej:
Jerzy J. Wiatr
Longin Pastusiak
Tadeusz Iwiński
Danuta Waniek
Bogusław Liberadzki
Krzysztof Janik
Tadeusz Wojciechowski
Tadeusz Klementowicz
Andrzej Wilk
Piotr Gadinowski

Masz dość propagandowej papki?
Chcesz mądrzej patrzeć na świat?

www.trybuna.info

„Móźdzek Tygodnia”

W ostatnim numerze waszym „Móźdzkiem Tygodnia” był Artur Soboń. Ten (...) złamany, zamiast schować się do mysiej dziury ze wstydu, że jest kompletnym (...), nadal bierze udział w audycjach telewizyjnych. Ostatnio ten (...) na krzywych łapach uczestniczył w programie prowa-

dzonym przez red. Piotra Kraškę, który pytał go o kłamstwo watowskie. Soboń, ten patentowany (...), odpowiadał w stylu, który opisaście w „Móźdzku...”: Kraško o Rzymie, a Soboń o Krymie – jeśli on ogóle wie, czym są Rzym i Krym.

Mareczek z Konstancina
Od redakcji: Skróty pochodzą od redakcji.



Nalęczów woła o pomoc

Piszę jako przedstawicielka części mieszkańców Nalęczowa i jego okolic, a także grupy miłośników tego uzdrowiska, mieszkających często w odległych miastach. Piszę także w imieniu głęboko zatroskanych Polaków mieszkających np. w Niemczech, Austrii, Hiszpanii i systematycznie odwieżdżających Nalęczów.

Otóż Nalęczów za sprawą wygrywających wybory władz upada. Wycinanie od lat drzew, wysuszanie łąk, które są źródłem leczniczego klimatu, kostkowanie ziemi, niszczenie zabytkowych willi, rozebranie starego dworu – to tylko niektóre przykłady braku szacunku dla tradycji kulturowej tego miejsca. Widowym tego znakiem jest zdjęcie tablicy „Ochronka im. Adasia Żeromskiego” z pięknej willi ufundowanej przez Stefana Żeromskiego, przeznaczonej w jego testamentie na cele społeczne obywatelom Nalęczowa. Niedawno usytuowano tam muzeum im. Bolesława Prusa, co jest swoistym skandalem.

Obecnie zagrożeniem dla uzdrowiska Nalęczów stała się decyzja woje-

wody, aby przeprowadzić obwodnicę Nalęczowa w takim wariantcie – a są możliwe inne, w tym tańsze – że obwodnica zamiast przebiegać wokół uzdrowiska, przebiegnie przez strefy ochrony uzdrowiskowej, i to w odległości kilkuset metrów od centrum. Wprowadzi to hałas, zwiększy zanieczyszczenie powietrza, zniszczy, bo przetnie pobliską miejscowość Cynków, doprowadzi do wysuszenia błot, które są gwarancją leczniczego klimatu. Wybór tego wariantu obwodnicy jest korzystny jedynie dla firmy zagranicznej Nalęczowianka, bo stanie się dla niej drogą dojazdową. Ten projekt obwodnicy, który zniszczy Cynków i walory uzdrowiska Nalęczów, nie wyprowadzi z Nalęczowa dużego ruchu samochodów, bo nadal najkrótsza droga z Lublina do Kazimierza będzie prowadzić przez centrum Nalęczowa.

Protestujemy od kilku lat, bezskutecznie prosząc kolejnych burmistrzów, a także rozmaite władze centralne o rozpatrzenie innych możliwych wariantów przeprowadzenia ob-

wodnicy. Są gotowe projekty, nawet tańsze. Czyżby ten upór władz wiązał się z jakimiś interesami związanymi z ewentualnym wykupieniem ziemi, na której ma przebiegać obwodnica?

Nalęczów wymaga obwodnicy. Przygotowaliśmy petycję w 2013 r. i zebraliśmy ponad 1000 podpisów złożonych przez osoby fizyczne i instytucje. W 1994 r. Rada Miejska Nalęczowa podjęła uchwałę, w której zapisano, że projektowany przebieg obwodnicy niesie ze sobą „...szereg konfliktów ekologicznych i krajobrazowych. Należy podjąć działania doprowadzające do innego bezpieczniejszego dla środowiska przebiegu obwodnicy”. Inwestor i burmistrz odstąpili od tego wiążącego zapisu i publicznie go nie ujawniali.

Zwracaliśmy się z prośbą o ratowanie uzdrowiska Nalęczów do rozmaitych urzędów z Kancelarią Prezydenta RP włącznie. Nikt nie przeprowadził merytorycznej analizy problemu, lecz jedynie przekazywał nasze pismo kolejnemu urzędowi.

Maria Szyszkowska

Rodzina jednego z bohaterów publikacji „Polska pierdoli psycholi” („NIE” nr 51/2020) nie najlepiej przyjęła jego zwieryszenia o problemach psychicznych. Miała obawy, że jednak ktoś w tej historii rozpozna jego i jego najbliższych. Mimo to – a może właśnie dlatego – postanowił on podzielić się doświadczeniami, opowiadając o tym, jak trafiał do psychiatryków i jak sobie w nich radził.

Początki obłądu. Andrzej na długo zapamięta rok 2012.

Od trzech lat dojeżdżał co tydzień 300 km do pracy na publicznej uczelni, a w domu jego narzeczona i matka jego dziecka robiły non stop awantury, urządzając jemu i 6-letniej córce prawdziwe piekło. Mężczyzna był tak zaburzony, że nie potrafił właściwie zareagować. Dzień po dniu zapadał się w sobie, mając dość wrzasków, płaczu i trzaskania drzwiami partnerki. Partnerki, która od trzech lat odmawiała mu seksu, a nawet jakiegokolwiek kontaktu fizycznego, przytulania czy głaskania.

Pewnego dnia był u znajomych. 5-letnia córka kolegi bawiła się z nim, skacząc i wiercąc się na jego kolanach. Zadziałała hydraulika. Poczul erekcję. Zaraz, wymawiając się zmęczeniem, opuścił dom kumpla. Wpadł w panikę. Bo zdawał sobie sprawę, że wielu pedofilów było w dzieciństwie molestowanych seksualnie. Bał się, że sam należy do tej kategorii. Że będzie krzywdził dzieci.

Co więcej, Andrzej od kilku miesięcy miał poważne problemy z pamięcią. Pewnego razu, przygotowując obiad, rozplakał się, bo zapomniał nazw warzyw: dopiero po dłuższej chwili doszedł do tego, jak nazywają się marchewka i cebula. Robił różne badania, w tym tomografię głowy, pobieranie płynu z rdzenia kręgosłupa, ale żaden z lekarzy nie mógł odnaleźć przyczyny problemów z pamięcią.

W jednym ze szpitali zasugerowano konsultację psychiatryczną. Zgodził się. Młody lekarz stwierdził, że to przemęczenie. Że jego organizm jest jak samochód jadący pod górę, któremu brak paliwa. I zasugerował terapię psychodynamiczną na oddziale otwartym psychiatryka w pewnym mieście wojewódzkim.

Kobiety i przemoc. Andrzej ucieszył się, że dostał się na terapię na oddziale dziennym w sesji letniej, już po zakończeniu roku akademickiego. Na kilkanaście osób, które w niej uczestniczyły, było tylko czterech mężczyzn.

Terapię prowadziły dwie młode psycholożki. Jedna, która zachowaniem i wyglądem przypominała grzeczną pensjonarkę z XIX-wiecznych powieści dla grzecznych panien, i druga, dorodna ślicznotka o obfitym biuście. Wszyscy faceci starali się wywrzeć na tej drugiej wrażenie, oczarować ją, zainteresować sobą. W powietrzu czuć było napięcie seksualne, wzmacniane przez nienawistne zachowania pacjentek, zazdrośnych o uwagę płci przeciwnej.

Pacjenci od poniedziałku do piątku zbierali się w sali z lustrem weneckim. Codziennie odbywały się dwie 1,5-godzinne sesje terapeutyczne. W przerwie było śniadanie. Lipiec. Bardzo gorąco. Psycholożki otwierały wielkie okno, aby nie było duszno. Andrzej siedział naprzeciwko niego. Nieraz zastanawiał się, jak by to było, gdyby wyskoczył z IV piętra. Zastanawiał się, czy inni wpatrujący się uporczywie w okno mają podobne myśli.

Mężczyzna bardzo szybko się otworzył. Opowiadał o tym, jak dorastał w cieniu domowego terrorysty i wyżywał się na młodszych rodzeństwie. Pacjentki, spośród których wiele samo doświadczyło w dzieciństwie i w związkach przemocy, zareagowały bezwzględnie. Dawały mu odczuć, że jest nieakceptowany, słaby, beznadziejny. Miały możliwość odpłacenia komuś za własne krzywdy.

Andrzej zwykle siedział obok cichej i ponurej kobiety około czterdziestki. Biła od niej zła energia. Czuł ją wręcz fizycznie, wdzierała się weń każdym porem skóry. Kobieta opowiadała o ojcu alkoholiku, ale było dość jasne, że jej opowieść jest niepełna. Po latach zrozumiał, że kobieta zapewne była po wielokroć gwałcona w dzieciństwie przez ojca.

KURWA, MYŚLAŁEM, ŻE JEST ZŁE, ALE WYCHODZI NA TO, ŻE JEST DOBRZE, BO PI SZĄ, ŻE BĘDZIE GORZEJ..



Miałem ci zajoba

MASZ, KURWA, TAKIŚ PROBLEM?



Pośród pacjentów wyróżniał się chłopak niepełna 20-letni. Lubił się popisywać i opowiadać o bracie – warszawskim dziennikarzu motoryzacyjnym, który pozwolił mu kiedyś przejechać się autem za kilkaset tysięcy. Wymądrzał się. Mieszanie zdumienia i pogardy wzbudziła jego historia o tym, jak poszedł na brzeg morza i nalepił sobie plastry nikotynowe, aby tak popełnić samobójstwo. Wszyscy dobrze wiedzieli, że gdyby chciał się zabić, toby się po prostu utopił.

Chłopak wzbudzał niekłamną agresję Andrzeja. Pewnego dnia pochylił się nad przemądrzałym gówniarzem i powiedział, żeby spierdalał, bo jak Andrzej mu jebnie, to mu ściana odda. Chłopak był przerażony. Andrzej, nie zdając sobie sprawy, że ma już psychozę, z dumą opowiedział na głos, co chciał zrobić. Chciał zaimponować seksownej terapeutce i pokazać pacjentkom, że twardy z niego gość.

Kilka dni później trafił do innego szpitala psychiatrycznego – tym razem na oddział zamknięty.

Pierwsza psychoza. Pewnego lipcowego poranka w roku 2012 Andrzejowi całkiem odubiło. Zaczął wydzwaniać do znajomych i mówić różne dziwne rzeczy. Gdy poszedł bez butów do narzeczonej do pracy z pytaniem, gdzie jest ich córka, godzinę później w kaftanie bezpieczeństwa jechał karetką do psychiatryka położonego w uroczym zakątku na ścianie wschodniej.

Zanim przeszła mu psychoza, zwyzywał personel szpitalny i kopnął w tyłek siostrę oddziałową. Jako pacjent agresywny został przywiązany za ręce i nogi do łóżka. Zrobiono mu zastrzyk na uspokojenie.

Andrzej szybko odnalazł się w specyficznym świecie szpitalnym. Poznawał ludzi. Był otwarty. Wpasował się w rytm dobowy placówki. Posiłki, wydawanie leków. Za pieniądze od rodziny kupował u siostry oddziałowej ruskie fajki – 60 zł za 10 paczek. Oddziałowa przynosiła papierosy pacjentom, chowając je pod bluzką.

Centrum życia oddziału była palarnia. Kto nie był nałogowym palaczem, ten znajdował się na marginesie szpitalnego życia.

Fajki najlepiej smakowały, gdy towarzyszyła im pita w ogromnych ilościach czarna kawa. Gdy poczęstowało się kogoś fajką lub kawą, można było usłyszeć choćby porady, jak świrować, aby dostać się na rentę. Nieznani ludzie opowiadali swoje życiowe historie.

Andrzejowi wydawało się, że jest całkiem zdrowy, nalegał na wypisanie ze szpitala. Ordynatorka uczyniła to, acz bez większego przekonania. Po hospitalizacji mężczyzna wyprowadził się od narzeczonej i ich wspólnego dziecka.

Do szpitala w kajdankach. 13 marca 2019 r. Andrzeja potrafił samochód. Nic poważnego mu się nie stało. Odczuwał jednak uporczywy ból kręgosłupa. Brał 4 tabletki opiodu dziennie, po których czuł się, jak gdyby ktoś mu dał obuchem siekiery w łeb. Ale przynajmniej go nie bolało.

Jego ówczesna partnerka, Ola, zasugerowała, że wymyśla ból, aby brać leki. Postanowił dowiedzieć jej, że to nieprawda, tym bardziej że od dłuższego czasu w ich związku źle się działo. Ola była dla niego zimna wtedy, gdy najbardziej oczekiwał jej

wsparcia. Z dnia na dzień rzucił lek przeciwbólowy. Miał stany lękowe, czuł się podle.

Miesiąc po wypadku Ola go rzuciła. Pojechał do matki. Jak sam to określa, zaczął się odklejać od rzeczywistości. Prawie nie było z nim kontaktu. Bez widocznego powodu śmiał się, płakał, całymi dniami oglądał bajkę „Masza i niedźwiedź”. Żył we własnym świecie.

Matka i siostra, martwiąc się o Andrzeja, wezwały karetkę. Nie chciał jechać. Ratownicy wezwali policję. Z opowieści siostry wie, że spytał funkcjonariusza, kim jest. Umundurowany policjant spytał, na kogo wygląda. Chory powiedział, że wygląda na pajaka, i nagle wstał z łóżka. Chwilę później skutą kajdankami jechał policyjną suką do psychiatryka. W izbie przyjęć nie zgodził się na dobrowolną hospitalizację. Odprowadzający go na oddział policjanci, wkurzeni, że muszą zajmować się wariatem, dla zabawy kazali mu biec na III piętro, na wpół go wlokąc.

Fajki, kawka i trawka. Andrzej na oddziale szpitala w mieście wojewódzkim w Polsce południowo-zachodniej czuł się świetnie. Miał wsparcie w rodzinie i znajomych. Pobił chyba rekord liczby odwiedzających pacjenta w historii szpitala. W ciągu 35 dni odwiedziło go 11 osób, przy czym niektóre – jak siostra Julia – czyniły to kilka razy w tygodniu.

Mężczyzna był ceniony i lubiany przez innych pacjentów. Miał smartfon z dostępem do internetu – rzadkość na oddziale, gdyż większość hospitalizowanych była bardzo biedna, a gdy już miała nowoczesny telefon, nie chciała go nikomu dawać – chłopaki pożyczali komórkę, aby robić sobie dobrze w toalecie przy oglądaniu porno. Palili jak smok – doszedł do trzech paczek papierosów dziennie. To go rozluźniało. Miał od tytoniu żółte palce.

Chętnie dzielił się fajkami, kawą i słodyczami. Pacjenci odwiedzali się, jak mogli – jeden z nich pozwolił mu sztachnąć się marihuaną. Innym razem jeden z gości kolegi poczęstował go przywiezionym prosto z Amsterdamu skrzętem z trawką. Nic dziwnego, psychiatryk to nie więzienie. Nie ma kontroli osobistej dla odwiedza-

jących. Trzeba tylko uważać z alkoholem – jeden pacjent przegiął, zbadano go alkotestem i miał przejebane.

Andrzej tylko 2 razy wkurwił się w trakcie hospitalizacji.

Pierwszy raz, gdy sędzia, która miała orzec, czy trzymać go w szpitalu wbrew jego woli, nawet nie zaprosiła go na odbywającą się na terenie szpitala rozprawę. Co było wbrew prawu i elementarnej przyzwoitości. Gdyby go spytała, zgodziłby się na hospitalizację. Od tego czasu ma wyjebane na to, co PiS robi z sędziami.

Drugi raz, gdy potwornie bolał go kręgosłup i zwijał się z bólu, najpierw grzecznie prosząc, potem wręcz błagając na kolanach o środek przeciwbólowy. Kiedy w nocy wył z bólu i walił pięścią w drzwi dyżurki, pielęgniarka, wściekła, że jej przeszkadza spać, kazała mu się zamknąć, bo inaczej skończy w pasach. Tej nieprzespanej nocy coś w nim umarło.

Gdy nasz bohater wyszedł ze szpitala, nie wiedział, że za pół roku trafi znowu na ten sam oddział.

Wariaci i wiertarki. Pewnego październikowego popołudnia w 2019 r. spełniły się koszmary Andrzeja. Dostał psychozy w trakcie zajęć ze studentami. Ale, w odróżnieniu od ponurych wizji wykładowcy, żaden ze studentów nie nagrał jego zachowania i nie wrzucił go dla beki do sieci. Andrzej na co dzień zachowuje się ekscentrycznie i nikt nie zauważył popadnięcia w obłąd. Zwolnił się z zajęć, udał do matki i sam poprosił, aby wezwała pogotowie. Tym razem obyło się bez policji i kajdanek.

Hospitalizacja trwała tylko 8 dni, ale była najgorsza ze wszystkich.

W czasie pobytu mężczyzny w szpitalu w starym poniemieckim gmazyszku odbywał się remont. Andrzej z przerażeniem obserwował walające się po korytarzu oddziały młotki i podłączone do prądu wiertarki. I bezradnych budowlanców – w tym słabo mówiących po polsku Ukraińców – którzy musieli użerać się z ciekawskimi pacjentami. Oczyami wyobraźni widział wariatów, którzy przewiercają głowę jemu lub odwiedzającej go matce czy siostrze. Na szczęście nic się nikomu nie stało.

Lekarką prowadzącą była młoda kobieta, która ignorancję i brak doświadczenia pokrywała fałszywym poczuciem pewności i ciągłym pocuciem pacjentów. Gdy wygulał ją i zobaczył, że specjalizuje się w chorobach wewnętrznych, toteż – jak powiedział jej – powinna zachować trochę pokory w relacjach z pacjentami, kobieta zniemawiała go i podjudzała, aby złożył skargę do ordynatora.

Ordynator, stary wyga, nie miał chyba najlepszego zdania o podległej mu lekarce. Czując w powietrzu kłopoty i narastający konflikt, zgodził się wypisać z placówki Andrzeja.

Kliniczna tragifarsa. Każdy przypadek psychiatrycznej hospitalizacji jest inny. Ale powtarzanie, że to szpital jak każdy inny, jest bzdurą – nasz bohater przekonał się o tym, gdy okazało się, że żadne z jego dwóch ubezpieczeń w pracy nie obejmuje rekompensaty za pobyt w psychiatryku. Widocznie ubezpieczyciele dochodzą do wniosku, że pobyt w takiej placówce jest czymś różnym od hospitalizacji z powodu wszelkich innych chorób. Może sądzą, że to jakiś luksusowy kurort...

W każdym społeczeństwie jest odsetek ludzi, którzy z takich czy innych względów mogą potrzebować na pewnym etapie życia pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Doświadczenie Andrzeja pokazuje, że Polska pokazuje środkowy palec znajdującym się na oddziałach zamkniętych. W wielu miejscach warunki socjalne i poziom profesjonalizmu personelu medycznego przypominają nie kraj Unii Europejskiej, ale Trzeci Świat.

ZUZANNA JURCZYŃSKA

MOŻECIE, DO KURWY NEDZĄ, PRZESTAĆ NAPIERDACAĆ IĄ JEBANĄ FOLIA BABELKOWĄ?!



Płytką rzeka świeżej krwi

Co różni juniora z Rosji od seniora z Polski?



Podczas konferencji prasowych dotyczących szczepień przeciw COVID-19 minister Michał Dworczyk często mówi o seniorach. Czasem nazywa nas nawet „naszymi drogimi seniorami”. To miłe z jego strony. Ja chciałbym jednak napisać nie o seniorach, ale o juniorach.

Wydawało się, że wraz z zakończeniem kariery przez naszą mistrzynię biegów narciarskich **Justynę Kowalczyk** zakończą się polskie sukcesy w tej dyscyplinie. Ta opinia okazała się błędna.

Dziewczynki z papierami

Mistrzostwa świata juniorek i juniorów w fińskim Vuokatti przyniosły sukcesy polskim biegaczkom. W tym znanym ośrodku sportów zimowych znajduje się chłodzony tunel do trenowania latem biegów narciarskich. Podczas mistrzostw niczego nie trzeba było chłodzić, bez tego było aż za zimno, biegano przy minus dwudziestu stopniach Celsjusza. W takich warunkach polskie juniorki zdobyły cenne medale: **Monika Skinder** złoty w sprincie techniką klasyczną, a w tej samej konkurencji **Karolina Kaleta** brązowy, przegrywając w walce o srebro ze Szwedką Moa Hansson zaledwie o dwie setne sekundy. W kategorii młodzieżowców w biegu na 10 km wygrała **Izabela Marcisz**. Wszystkie dziewczyny urodziły się oczywiście już w XXI w.

Monika Skinder jest pierwszą mistrzynią świata juniorek w biegach narciarskich w historii polskiego sportu. Osiągnięcie tym cenniejsze, że zanim pokonała rywalki, rozprawić się musiała z koronawirusem, który dopadł ją przed sezonem. Na szczęście przeszła chorobę lekko i szybko wróciła do dobrej formy.

Młodziutka mistrzyni trafiła do narciarstwa biegowego trochę przez przypadek (chciała uprawiać jazdę na rolkach), a trochę przez fascynację Justyną Kowalczyk. Pochodzi z Tomaszowa Lubelskiego, a trudno miasto na Roztoczu uznać za kurort zimowy. W klubie MULKS Grupa Oscar trener **Waldemar Kołcun** prędko dostrzegł talent, jaki wpadł mu w ręce, i potrafił młodą biegaczkę przygotować do startów. Po raz pierwszy o Skinder zrobiło się głośno, gdy jako 15-latką została mistrzynią Polski seniorek w sprincie. Stała się dzięki temu najmłodszą mistrzynią Polski w historii naszego narciarstwa klasycznego. Podczas tych samych zawodów brązowy medal w biegu na 5 km stylem klasycznym wywalczyła Izabela Marcisz.

Nie mogła tego nie zauważyć Justyna Kowalczyk. Sama zawodów nie oglądała, ale gdy zapoznała się z wynikami, na Twitterze napisała zdanie: „Mają dziewczynki papiery na dobre bieganie!”.

Mogła wkrótce sama się o tym przekonać. Skinder i inne młode biegaczki trafiły do grupy, którą opiekowała się Kowalczyk i prowadzący ją przez całą karierę trener **Aleksander Wieretielny**. Co więcej, podczas mistrzostw świata w Seefeld w 2019 r. Kowalczyk i Skinder wystartowały razem w biegu sztafetowym, zakwalifikowały się do finału, w którym zajęły dziesiąte miejsce. To naprawdę rzadkość, żeby trenerka i zawodniczka wspólnie startowały w tak ważnej imprezie; w każdym razie ja nie potrafię sobie przypomnieć podobnego zdarzenia.

Pasażerki z Kasiny

Niestety duet Kowalczyk-Wieretielny już nie szkoli młodych zawodniczek. Wieretielny odszedł na emeryturę, niezbyt elegancko żegnany przez narciarską centralę. Kowalczyk wyszła za mąż, a po latach spędzonych na zawodach i zgrupowaniach

zapragnęła nacieszyć się prywatnym życiem. Nie znaczy to, że porzucili utalentowane biegaczki. Z Wieretielnym wciąż mają kontakt, doradza im, a Kowalczyk już jako Justyna Kowalczyk-Tekieli bezpośrednio angażuje się w szkolenie. Główny trener kadry, Słowak **Martin Bajčičák**, jeździ z reprezentantkami na zawody Pucharu Świata, a wówczas młodzieżą zajmuje się mistrzyni olimpijska, która oficjalnie piastuje funkcję jego asystentki.

Druga medalistka mistrzostw świata juniorów Karolina Kaleta ma jeszcze bliższe związki z Justyną Kowalczyk. Pochodzi z Kasiny, rodzinnej miejscowości Kowalczyk, i dzięki temu zdarza jej się czasem korzystać z podwozki. Nietrudno się domyślić, że Kowalczyk nie ogranicza się do roli szofera.

Karolina ma starszą siostrę, Weronikę, także biegaczkę narciarską, która zdobywała nawet punkty w Pucharze Świata. Weronika wyrosła już jednak z wieku juniorki, wyjechała na studia do USA i tam reprezentuje swoją uczelnię w zimowych dyscyplinach sportowych. Jedną pasażerką odpadła Justynie Kowalczyk w kursach do Ka-

siny, ale druga wciąż jest pod jej opieką. Karolina Kaleta ma istotną przewagę nad Moniką Skinder. Jest od niej o rok młodsza. Skinder nie będzie mogła bronić tytułu mistrzyni, Kaleta ma szansę za rok poprawić swoją lokatę, wciąż będzie juniorką.

Starcie z Norwegami

O ile Monika Skinder została biegaczką trochę przez przypadek, o tyle trzecia z naszych utytułowanych młodych biegaczek, Izabela Marcisz, nie miała wyboru. Jej ojciec rywalizował z **Józefem Łuszczkiem**, mistrzem świata w biegach narciarskich z 1978 r., a matka była mistrzynią Polski młodzieżek. Izabela ma dwie starsze siostry, też biegaczki, obie przez jakiś czas były w kadrze narodowej. Rodzice marzyli, żeby wystartowały kiedyś wspólnie w sztafecie. Nic z tego nie wyszło, dzieli je zbyt duża różnica wieku. Jest jeszcze 11-letni brat Szymon. Już zaczął treningi biegowe...

Wygląda na to, że Polska ma szansę wyrosnąć na potęgę w biegach narciarskich. A przecież w tej dyscyplinie

niemal monopol na zwycięstwa mieli zawsze Norwegowie. Byli i są najlepsi. Ostatnio jednak słychać głosy, że w tym kraju z bieganiem na nartach nie jest najlepiej. Siła tej dyscypliny opiera się głównie na pieniądzach od sponsorów, którzy z powodu pandemii ponieśli duże straty finansowe. Dla czołówek kasy nie zabraknie, ale ze szkoleniem młodzieży i wysyłaniem jej na zagraniczne zawody mogą być kłopoty. Oczywiście o norweskie biegi narciarskie nie mamy się co martwić. To taka potęga, że wybrnie z każdego kryzysu. Sukcesy naszej młodzieży mogą jednak świadczyć o tym, że w przyszłości z norweską potęgą walczyć nie będzie już samotna Kowalczyk, ale cała grupa zawodniczek z Polski.

Pierwszy na Ziemi

Tymczasem w Norwegii szykuje się rewolucja w zupełnie innej dyscyplinie sportu. Piłka nożna w tym kraju nie może poszczycić się sukcesami. W swojej historii 3 razy reprezentacja tego kraju awansowała do finałów mistrzostw świata, raz – w 1988 r. – udało się jej wyjść z grupy eliminacyjnej i to było jej największe osiągnięcie. Teraz coraz częściej i więcej mówi się o młodych norweskich futbolistach.

Gdy urodzony 22 lata temu w Drammen **Martin Ødegaard** nauczył się chodzić, zaczął kopać piłkę. Fachowcy popatrzeli na to i zgodnie orzekli: to największy futbolowy talent, jaki kiedykolwiek urodził się na naszej planecie. Nieprzypadkowo wielkie kluby mają roznianych po całym świecie skautów, których zadaniem jest wynajdowanie uzdolnionych graczy. Po 17-letniego Ødegaarda, który miał już za sobą występy w reprezentacji Norwegii, sięgnął słynny Real Madryt.

Zawodnikiem Realu Ødegaard jest nadal, gra jednak na zasadzie wypożyczenia w innych klubach, obecnie w Arsenalu Londyn. Może nie spełnił jeszcze oczekiwań związanych z „najzdolniejszym futbolowym talentem, jaki urodził się na Ziemi”, ale na pewno reprezentacja Norwegii będzie miała z niego pożytek.

Mało mówi, dużo robi

Erling Håland to ostatnio najgłośniejsze nazwisko w europejskim futbolu. 22-letni napastnik Borussia Dortmund

mund urodził się w Leeds, w Anglii, ale jest Norwegiem. Po prostu gdy się rodził, jego ojciec, który był zawodowym piłkarzem, grał akurat w Leeds United. Dziś dla Erlinga Leeds United, średniak z Premier League, byłby za słabą drużyną. Za słaba jest także Borussia Dortmund. W najbliższym okienku transferowym walczyć o niego będą największe kluby Europy. W 2019 r.

podczas rozgrywanych w Polsce mistrzostw świata juniorów do lat dziewiętnastu reprezentacja Norwegii wygrała z Hondurasem 12:0, a 9 bramek zdobył Håland.

Gdy po meczu gratulowano mu tego osiągnięcia, skromnie spuścił oczy i odparł, że to nic nadzwyczajnego. Kiedyś, grając w drużynie 13-latków, strzelił tych goli 13. Już było wiadomo, że na boiskach pojawił się znakomity napastnik i nieszlachetny rozmówca dla dziennikarzy. Trenerzy nie raz musieli tłumaczyć krótkie wypowiedzi swojego zawodnika: Erling pochodzi z miasta Bryne w Norwegii. To region, w którym ludzie mało mówią, a dużo pracują. I taki jest Erling.

W piłkarskiej Lidze Mistrzów Håland rozegrał dotychczas 13 meczów i strzelił 18 bramek. To już wystarczająca wizytówka małymownego napastnika.

Jeśli ma się takich piłkarzy jak Håland i Ødegaard, o przyszłość swojej reprezentacji piłkarskiej można być spokojnym. A jeśli ma się takie dziewczyny jak Marcisz, Skinder i Kaleta, można być spokojnym o przyszłość reprezentacji w biegach narciarskich.

Spoza kohorty

Zacząłem od szczepień przeciw COVID-19, tym też zakończyć. W Polsce sportowców się nie szczepi. Nie zaliczono ich do uprzywilejowanych kohort (minister Dworczyk czasem używa tego terminu, znanego zarówno ze statystyki, jak i z antycznej rzymskiej wojskowości). Szkoda, sportowcy przecieć są na pierwszej linii frontu. Na pierwszej linii frontu zapewniania telewizyjnej rozrywki ludziom zamkniętym w domach z powodu pandemii.

Bodaj jedynym zaszczepionym przeciw koronawirusowi polskim sportowcem jest **Gleb Czugunow**. Żużlowiec Sparty Wrocław ożenił się z Polką i było to raczej małżeństwo z rozsądku niż z miłości. Dzięki ożenkiowi uzyskał polskie obywatelstwo i mógł startować jako polski junior, na czym chyba bardziej nawet zależało działaczom Sparty niż samemu zawodnikowi. W mediach społecznościowych nie raz pisał o tęsknocie za swoją piękną rosyjską dziewczyną Julią. Zaraz po zakończeniu sezonu wyjechał więc do Rosji. Serce nie służy, także u żonatego mężczyzny.

W mediach społecznościowych Czugunow pochwalił się, że jest już zaszczepiony przeciw COVID-19. Nic dziwnego, w Rosji nie ma ani ministra Dworczyka, ani żadnych kohort. Kto chce się zaszczepić, idzie do przychodni, płaci 1500 rubli (ok. 80 zł) za szczepionkę i robią mu zastrzyk.

Dziwny jest ten świat. Przeciwnemu wirusowi w Rosji zaszczepili polskiego juniora, a niektoż nasi seniorzy nie mają jeszcze wyznaczonego terminu szczepienia.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

A ŚRODKI NA ZCZĘPIENIE ZAWODNIKÓW...



...PRZEZNAČY SIĘ NA MSZĘ W ICH INTENCJI



Rysunki REMEK DĄBROWSKI



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny
(zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat,
Tadeusz Jasiniński, Michał Marszał, Marta Micińska,
Maciej Mikolajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wolk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 24.02.2021 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

– Nie gniewasz się?
– Coś ty? Przecież sam zrezygnowałem...

– Musiałeś, nie miałeś innego wyjścia, te skutwysyny cię zaszczyły, a ty, ty, ty... pokazałeś, co to znaczy hono! Za to cię Kocham.

– Ja ciebie też. Ale... Wiesz, że gdy dziś ogłaszałeś, że podałem się do dymisji, pomyślałem, że może to był błąd.

– Błąd?

– No, to że awansowałeś mnie na dyrektora. Może nie powinienieś...

– Złobilibym to jeszcze łaz. Byłbyś najlepszym dyktem, jakiego mógłbym sobie wyobrazić. Niestety mielnoty też to wiedziały i ci tego nie daowały. Dopięły swego.

– Wiesz, co mnie bawi w tej w sumie ponurej historii? To, że oni wszyscy nie mogli się nadziwić, dlaczego bronisz mnie jak niepodległości. Żeby wiedzieli...

– Tak... Sugełowali, że to jakiś spisek na szczytach władzy, plemień Moławiecki, małżalek Tellecki i tak dalej... Dułnie. Chciałbym widzieć ich miny, gdyby dowiedzieli się pławdy.

– Lepiej nie. Miałbym przejebane. Moi ludzie jeszcze nie dorosli do tego, żeby zrozumieć. Dla nich cioty to cioty. Podludzie. Nie tylko walić w mordę i zamykać w obozach.

– Niechby zamykali, byle łazem. Z tobą mógłbym siedzieć nawet w Auschwitz-Birkenau... Spalibyśmy na jednej płyczy...

– Wiesz, że Auschwitz to dla mnie trudny temat... Wystarczy, że coś powiem, a wszyscy od razu zarzucają mi kłamstwo oświęcimskie.

– Skutwysyny. Ja wiem, że to był zwykły obóz płacy i że to wszystko jest jedną wielką żydowską mistyfikacją. Pokażesz mi tatuaż?

– Który?

– Ten pod pławą pachą. Wygląda jak dwie małe błyskawice... Ach!

– Co robisz?

– Całuję cię, nie chcesz? Ładnie pachniesz. Uwielbiam twój zapach, muszą w nim być fełomony dedykowane specjalnie dla mnie.

– Karl Lagerfeld.

– Kał Lagelfeld – jak to męsko brzmi... A może jednak też podam się do dymisji...

– Ani się waż! Przynajmniej ty nie daj się wyrzucić i broń narodu polskiego przed lewactwem. Twoja rezygnacja nic nam nie da.

– Ależ da... Wyobraź sobie, że rzucę to wszystko w cholefę, wcześniej wezmę z kasy społą zaliczkę i wyjedziemy gdzieś do ciepłych kłajów. Będziemy się kochać, kąpać w oceanie, chodzić po plaży i heilować do utłaty tchu.

PRZEMYSŁAW CÍWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

Świętego Zenobiusza

Kompromis między konserwatywnym a lewicującym skrzydłem Platformy to w istocie porozumienie dotyczące tego, że wszyscy jesteśmy obłudni. Przez pierwsze 3 miesiące ciąży kobieta w ciężkiej sytuacji ma mieć prawo do aborcji na życzenie, ale tylko po uzyskaniu zgody lekarza oraz psychologa. To kobieta deklaruje i przedstawia ciężką sytuację. Lekarz ani psycholog jej nie badają. Nie wiadomo też, co jest, a co nie jest trudną sytuacją. W istocie więc pacjentka dostaje aborcję, jeżeli chce, musi tylko się przed tym nabiegać. Nierzadko też zapłacić za tę formalność, gdyż do darmowych specjalistów jest kolejka, a czas nagli. W ten sposób PO będzie karać za chęć pozbycia się niechcianego bachora. Nabiegaj się, laluniu, to i tak mniejsza fatyga niż poród i hodowanie dziecka. Kidawa-Błońska obiecuje sprawić jednak, że dziecko nie będzie karą za seks, tak jak teraz.

Świętego Eleuteriusza

Po odrzuceniu przez Senat kandydatury ministra Wawrzyka wysuwanego na Rzecznika Praw Obywatelskich trybunał Przyłębskiej otrzymała zlecenie obejścia konstytucji. Aby pozbyć się nadterminowego Bodnara, ma być ustanowiony p.o. rzecznika. W ten sposób PiS upiera się, że członek jego rządu może z dnia na dzień zostać obrońcą ludzi przed tym rządem. Kaczyńskiemu nie przychodzi do głowy, żeby szukać porozumienia między izbami. Czy w całej Polsce nie można znaleźć ani nawet szukać kompromisowego prawnika? Rząd przejmuje wszystko, wkrótce więc obroną człowieka przed oskarżeniem publicznym będą mogli zajmować się wyłącznie prokuratorzy. Ziobrze w ogóle nie jest potrzebne istnienie adwokatów, chociaż na razie tego nie mówi.

Świętego Hiacynta

Ciągle po kawalku, żmudnie czytam „Ludową historię Polski”. Lektura wskazuje, że rozbiory Rzeczypospolitej były zbawienne dla 90 procent ludności nieszlacheckiej. W Koronie i Wielkim Księstwie pojawił się dopiero wtedy realny organizm państwowy mogący regulować rozmiary wyzysku chłopów pańszczyźnianych.

Świętego Polikarpa

Dzieci aktorów tym są podobne do dzieci ginekologów, że jedno i drugie dziedziczą zawód rodziców.

Świętego Etelberta

Odszczekuję to, co napisałem o końskiej urodzie aktorki w serialu o bardzo ładnej Agnieszce Osieckiej. Jako stara, siwa, pomarszczona alkoholiczka mająca raka artystka jest bardzo adekwatna. Przepraszam ją więc. Na koniec pokazano prawdziwe fotografie poetki oraz Agaty i Daniela Passentów. To błąd. We wszystkich serialach biograficznych świata aktorzy są zawsze ładniejsi od postaci, które grają. W TVP 1 jest na odwrót, co każdy mógł zobaczyć.

Świętego Torazjusza

Telewizja Polsat News jest najmniej zadajda i stronnicza. Dlatego ma najmniej widzów spośród wielkiej trójcy. Żeby mieć wzięcie, trzeba grać na emocjach politycznych.

Świętego Alojzego

Statystyka aptekarska podaje, że w czasie pandemii bardzo wzrosła sprzedaż leków wzmagających erekcję. To zdumiewające. Mniej samców wychodziło z domu do szkoły, do pracy i na hulanki. Siedzieli w domach. Czyżby więc z rozpaczyc zaczęli rznąć własne żony?

Świętej Pauli

To ja płacę na media PiS, cieknie im ode mnie wielu rurkami, a rad bym je pogonić w cholerę. Płacę kilka abonamentów na TVP i PR. Finansuję je też, tankując w Orlenie kilka moich aut. Wydaję „NIE”, także odpalam Kaczyńskiemu poprzez Obajtka co nieco, gdyż do Orlenu należy Ruch, z którym dzielę się wpływami, bo korzystam z niego jako kolportera. Z wszystkich podatków, jakie ze mnie się ściąga, 2 mld zł reżim odpala na TVP. Prenumeruję 11 tytułów prasowych i część wydawanych na to pieniędzy w formie opłat za reklamy cieknie poprzez Orlen do pisowskich gadzinówek. A Ty, Czytelniku, kupując „NIE”, też finansujesz naszych wrogów! To jest tak, jak gdyby dawna czarownica, skazana na spalenie żywcem, przed śmiercią zmuszona była do pozbierania gałęzi na stos i ich porąbania.

Świętego Leandera

Rosyjska szczepionka jest dobra, ale dla mniejszości ludzi, w tym Rosjan. Większość ją odrzuca, ponieważ nie wolno pić 14 dni przed zaszczepieniem i 42 dni po, razem 56. Publicznie doniósł, że ona

nie nadaje się więc do niczego, Ryszard Czarnecki, eurodeputowany PiS, i dlatego wiadomość nie musi być prawdziwa.

Świętego Oswalda

Konstytucja nakazuje chronić ludzkie życie, ale kiedy ma się dziecko, to co to za życie? Żadne.

Świętej Antonii

Rozpoczęły się rozmowy rządowo-kościelne o wprowadzeniu religii na maturze. Bardzo popieram piątki za klękaniem. W Szczecinie i w Łodzi w tym roku szkolnym wypisało się z religii 40 procent uczniów. We Wrocławiu uczęszcza jedynie 32 procent uczniów szkół ponadpodstawowych, w Poznaniu 35 procent. Matura z religii jeszcze bardziej przyspieszy ucieczkę od religii.

Świętego Wirgiliusza

Jako Polak i Żyd uważam Niemców za najwspanialszy naród, a Niemcy za najdoskonalsze oprócz Szwajcarii i Szwecji państwo. Owszem, Niemcy przeżyły straszliwą zapaść, ale właśnie ona wyniosła je na szczyty. Z Polską stało się na odwrót. Chciałoby się więc, żeby Merkel, chociaż jest demokratką niestety chrześcijańską, po przejściu na emeryturę przyjechała rządzić Polską.

Świętego Oligariusza

Monika Jaruzelska, córka Generała, ogłosiła, że jest politycznie niczyja. Jej prawo, ale niech zważy, że mając inne nazwisko, w ogóle by w przestrzeni publicznej nie istniała.

Świętego Symplicjusza

Czy można być pozwanym za krytykę krzesła? Owszem. Krzysztof Wyszkowski, w czasach PRL radykalny i skrajny wróg naszego reżimu, przeciwnik porozumienia Okrągłego Stołu, pozwał Onet.pl. Uczynił to, ponieważ portal pochwalił niemiecką armatę, a zgał polski karabinek. Wyszkowski wskazał, że portal naśladuje hitlerowskie czasopismo antysemickie „Der Stürmer”, którego redaktora powieszono w Norymberdze. Polskiego karabinka „Grot” dlatego jeszcze nie wolno krytykować, ponieważ powstał w radomskiej fabryce, a Niemcy powiesili 50 członków jej załogi. Polska piaskownica stoi w centrum Narodowego Domu Wariatów. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 137



rys. RYSZARD DĄBROWSKI